



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

WALKA TYTANÓW

przez

J. Nitowskiego.

OSOBY:

ANANKE.	} tytanowie.	OCEANIDY.
OCEAN.		ZIEMIA.
KRONOS.		STURĘCY—bracia tytanów.
HYPERION.		FURYE.
CHÓR TYTANÓW.		DZIECI NOCY.
ZEUS.		ALASTOR.

FURYE (przelatujące w powietrzu).

Furya 1-sza.

Ha, już niedaleki czas,
Tylko czuwajcie, siostry;
Niech każda z was
Weźmie grot ostry
I w piersi Zeusa wymierzy!

Furya 2-ga.

Przeklęty, przeklęty niech będzie
Ten, co na łożu z chmur,
Oparłszy stopy o świata krawędzie,
Spokojnie leży!

Furya 3-cia.

Ten, co ze szczytów gór,
W poczuciu swojej siły,

Spokojnie patrzy na męki
Tytanów, bogów — współbraci,
Na rozpaczliwy ich szal.

Furya 2-ga.

Jakieś się jęki odbiły
Od groźnie sterczących skał.
Cicho! Słyszycie jęki?

Furya 3-cia.

Może to tylko przelatuje ptak,
A może słychać szum drzew?

Furya 2-ga.

To ziemia jęczy tak.

Furya 1-sza.

Naprzód orlemi loty!
Tytanów poruszym krew;
Dość im tej hańby, sromoty!

(Przelatują. Ukazują się Dzieci Nocy).

Chór Dzieci Nocy.

Nasze, nasze panowanie!
Któż nam wydrze naszą moc?
Nas zrodziła straszna Noc,
A pod twoją, Zeusie, panie,
Zawsze jesteśmy egidą.
Czegoż nam, czegoż potrzeba?
Wszystko, czego pożądamy,
Wszystko z woli twojej mamy.
Niech wrogowie twoi idą,
Co tak pragną twego nieba;

My, twoe sługi, Zeusie, boże,
Zgnieciemy zuchalców siły;
My dla twoich nieprzyjaciół
W Hadesie zgotujęm łoże.

Jedno z Dzieci Nocy.

Patrzcie, mgły się rozstały,
Różanopalcu wkrótce się ukaże,
A za nią Heliosa blaski.

Chór Dzieci Nocy.

Przeklętwo! Zakryjmy twarze!
Słyszycie? dzieane zbliżają się wrzaski,
Bez wątku, głupie, chaotyczne wrzawy.
Cha, cha, cha! Głupców czereda
Brzęczy jako w ulu pszczoły;
Ale pan nasz, Zeus łaskawy,
Dłużej im brzęczeć już nie da.
Na jedno jego skinienie
Rozpierzchną się zbuntowani
I w nasze ręce oddani
Pójdą na wieczne cierpienie.

Jedno z Dzieci Nocy.

Już wkrótce Helios swe blaski roztoczy.

Chór.

Kurczowe czujemy dreszcze.
Niestety, przed nim musimy uchodzić,
Ale to tylko dziś jeszcze!
Rzućmy przeklęctwem mu w oczy,
I naprzód!

Jedno z Dzieci Nocy.

Dokąd?

Chór.

Chrońmy się wszyscy!

(Odlatują).

(Wybrzeże oceanu. — Zdala widać góry porośnięte lasem. —
Dwie Oceanidy wychodzą na brzeg).

1-sza Oceanida.

O siostró moja! Czy już się zbliża
Kres strasznego boju?

2-ga Oceanida.

Dopiero walki początek mamy.
Jak wielkich duchów myśl chyża
Póty nie zazna spokoju,
Póki u celu swego nie stanie;
Jak tych skał dzikich odlamy
Dopóty leca w otchłanie,
Dopóki cielska swojego w dolinie
Nie oprą o twardy grunt, —
Tak ojców naszych gniew dopiero mienie,
Gdy runie Zeusa potęga;
Dopiero wówczas ustanie bunt,
Gdy tytan sięgnie tam, gdzie nikt nie sięga,
Gdy stopy oprze na Olimpu szczycie
I zatknie sztandar zwycięstwa.

1-sza Oceanida.

Czy wy tak wszystkie, siostry, mówicie?
Mnie, czuję, męczy ciągle jakiś trwoga.
Przeklnij mię, siostró, za taki brak męstwa
I brak ufności, jaka przystoi
Córkom tytana.

2-ga Oceanida.

Czy w siłę boga
Niewycięzoną wierzysz? Czy żal tobie
Krwi i łez ojców? Czy ich
Pojąć nie możesz?

1-sza Oceanida.

O, ja nieszczęśliwa!
Widzę, jak tam się na polu tłum roi;
Słyszę, jak dziki wicher się zrywa.
Ach, wszyscy, wszyscy giną po kolei!
O biada, biada wam, ojcowie moi!

2-ga Oceanida.

Przebóg, milcz, zamknij drżące swe usta!
W piersi twej, widzę, nadzieja kona.
Siostró, niestety, tyś już zwyciężona,
Bo już nie wierzysz—ty, blada jak chusta!

1-sza Oceanida.

Gdzie są tytani, gdzie?

2-ga Oceanida.

Nie tam, gdzie płyną
Ognistym gromem obciążone chmury,
Nie tam, niestety, ale tu, na dole,
W upośledzeniu i pogardzie giną;
A tam Zeus, władca świata, tam u góry
Z rozkoszą patrzy na tytaniów bole.

1-sza Oceanida.

Ktokolwiek walki tej jest przyczyną—
Strasznej, szalonej i bezużytecznej—
Przeklinam tego!

2-ga Oceanida.

O, cóżes wyrzekła!

(Słychać jęk)

Słyszysz, jak ziemia płacze nad sobą,
Że taką córkę tuliła do łona.

1-sza Oceanida.

Cóżem ja winna, że teraz już widzę,
Jak bohaterzy strąceni nikczemnie
Schodzą w głębinę Tartaru?
Pod wpływem bólu w piersi mojej kona
Wszelka rozważa i czucie,
I tylko rozpacz przemawia przezemnie.

2-ga Oceanida.

Nadzi-i, wiary miejmy więcej, więcej!
A z nami zwycięstwo będzie.
Znów tytan władzę posiedzie,
Byleby myśl swą ukochał goręcej,
Byleby wierzył w zwycięstwo;
A kiedy walki nastąpi czas,
Nawet umarłe powstaną bryły.

(Słychać szum oceanu; z jego głębin wynurzają się
Oceanidy).

Chór Oceanid.

Ze snu zbudzono nas,
Gdyśmy rozkosznie marzyły.
Ach, czy to prawda, siostrzyce,
Że lada chwila burza szalona
Wściekle nad nami zawyje,
Zmąci spokojne oceanu lice,
Sięgnie do głębin błękitnego łona
I zburzy nasze komnaty z kryształu,
Z traw morskich miękkie posłania?

Jedna z Oceanid.

Bezdomnym, wygnanym biada nam, biada!

2-ga Oceanida.

Cicho! Trwożny wasz głos
W głębinę morza zapada
I w piersi ojca tytana
Nowy wymierza cios.
Rozpacz pełny wasz jęk
Słyszysz ziemia rozplakana
I nowe żalu westchnienie,
Pękającej struny dźwięk
Do Uranosa posyła.

(Wskazuje się Ziemia).

Chór Oceanid.

Matko tytaniów, pocóżes milcząca,
Gdy straszny bój się zapala,
Gdy Zeus współbraci swych w otchłanie strąca,
A grom już migoce zdala?

Ziemia.

Córy, ja żyję, więc prawem mem ruch;
Gdzie niema ruchu, tam tylko śmierć gości;
Nie godzien życia, kto walki się boi;
Palącym ogniem miłości
Przepłomieniony duch
Rwie się do niebios podwoi
I, wiecznie krusząc żelazne obroże,
Co węzowemi ściskają go śloty,
W krainy wdziera się boże.
Spowity wiecznej uczuciem tęsknoty,
Wiecznie też dąży do góry
I w błękitach się rozplywa
Jako orzeł srebrnopióry.
Ta właśnie żąda rozwoju,
Pragnienie doskonałości
I to uczucie miłości
Do wiecznej walki go wzywa.
Duch nigdy nie zna spokoju,
Bo spokój—to niebyt, to śmierć.

Chór Oceanid.

Biada, skoro duch przegrywał

Ziemia.

Czy wy myślicie, że ducha przegrana
Istotnie jego jest klęską?

Córy, każda ducha rana
Jest zadatkiem nowej siły;
Duch zawsze wyjdzie zwycięsko:
Bo chociaż nieraz wygrana
W inną przechyli się stronę,
Duch już temsamem tryumf odnosi,
Ze walcząc siłę wyrabia w sobie,
I tem, że każde stłumienie jego
Wdwojnásób siły odporne mnoży.
Duch musi walczyć, — i ja, i wszystko.
Co ze mnie siły żywotne czerpie,
Bośmy wspólnością życia związani:
Ja i duch to jedna całość,
Jedna harmonia świata,
Jeden wielki głos stworzenia,
Głos rozkoszy i cierpienia.
A chociaż w ciągłej z sobą rozterce,
Tworzymy jedno wszechświata serce,
Jeden śpiew i jedne jęki.
Myśmy wiecznie nierozdzielni
I zarówno nieśmiertelni,
Jeden wspólny mamy byt.

ANANKÉ (ukazując się w chmurach).

I na wieczyste skazaniście męki!

(Znika.)

(Dalszy ciąg nastąpi).

TROSKA O CHLEB POWSZEDNI.

przez

Floryana Łagowskiego.

I.

Pora wakacyjna szczególnie nasuwa do rozmyślań temat, o którym mówić tu zamierzamy. Jak daleko pokierować synem, a często i córką, którzy właśnie szkołę średnią ukończyli? Do realnych czy klasycznych szkół syna oddać? Czyby nie wypadało zadowolić się czterema lub pięcioma klassami, które syn ukończył, i pchnąć go na drogę praktyczną, nie myśląc o ukończeniu całego kursu gimnazjum? Czy oddać córkę na pensję żeńską zwykłego typu, czy też, idąc za radami, dziś coraz częściej już słyszeć się dającymi, posyłać ją do szkoły rzemieślniczej? To i tym podobne pytania zajmują obecnie całe rodziny; nie więc dziwnego, że pragniemy i my o tej ważnej sprawie pomówić, że pragniemy wywołać dyskusję, któraby mogła dostarczyć nowych spostrzeżeń, wyprowadzić na jaw fakta i poglądy na doświadczeniu oparte.

Skorzystamy też na wstępie z pracy nader interesującej p. H. Wernica, „o wyborze powołania“ ogłoszonej przed kilku laty w *Przeglądzie Pedagogicznym*. Doświadczony ten pedagog, zastanawiając się nad tą samą prawie, co i my obecnie, kwestyą, w końcu rozprawy swej zwraca uwagę wychowawców na następujące punkta, których pomijać nie wolno, gdy się ma decydować o wyborze powołania dla wychowanków:

1) Czy obrane powołanie zapewni młodzieńcowi utrzymanie odpowiednie warstwie społecznej, do której młodzieniec ten należy, i czy dozwoli mu w stosownym wieku pomyśleć o założeniu własnej rodziny?

2) Czy siły jego umysłowe wystarczają do sumiennego pełnienia obowiązków powołania; czy można się spodziewać, że dzielny będzie w swoim zawodzie?

3) Czy obrane powołanie nie jest zbyt odosobnione od innych, tak, że w razie niepomyślności nie możnaby przejść do innego, któreby zapewniło takiesamo położenie towarzyskie?

Czy można być pewnym, że zarobkowanie będzie w nim trwałe nie przemijające, że nie ulegnie wpływowi mody lub chwilowej potrzeby?

4) Czy odpowiada siłom fizycznym młodzieńca, czy nie zaszkodzi mu i nie podkopie jego zdrowia?

5) Czy skłonność, jaką młodzieniec okazuje do powołania, nie jest tylko powierzchowną, czy można przypuścić, iż pomimo ciężkich obowiązków, jakie wkłada, uczyni go zadowolonym?

6) Czy wybrane powołanie najlepiej się zgadza z okolicznościami i czy okoliczności majątkowe rodziców pozwalają w razie potrzeby na udzielenie czynnej pomocy wybierającemu?

7) Czy jest tej natury, iż ze względu na stan majątkowy rodziców zapewni od razu lub w niedalekiej przyszłości utrzymanie młodzieńcowi? —

Z tych pytań naszego pedagoga widzimy, że głównie się on troszczy o tych, którzy sobie byt zapewnić muszą, że słusznie zwraca myśl wychowawców na punkta, które w razie ich pominięcia na przykre zawody narazić mogą.

I istotnie troska o byt stała się już dzisiaj kwestyą ogólną społeczną: nie o jednostki tu bowiem chodzi, ale o setki z każdej niemal warstwy towarzyskiej; szczególnie zaś sfera tak zwanej inteligencji musi wyszukać dla siebie źródeł innych, aniżeli te, z jakich do najnowszych czasów środki do życia czerpała.

Dlatego też z całą ścisłością wypadałoby uwzględnić rady naszego pedagoga i pewnie każdyby je dzisiaj chciał uwzględnić, gdyby nie dwie, zdaniem mojem, najważniejsze przeszkody: pierwsza, iż mało kto u nas zawyrokuje może, jaki zawód jest istotnie chlebodajny i o ile, — oraz, jakie drogi prowadzą do zdobycia tego zawodu; powtóre — przy samym wyborze, bardzo wielu z nas stanie na przeszkodzie — uprzedzenie, które się wytworzyło u nas z przyczyn historycznych.

Każdy z nas dzisiaj wprawdzie czuje i powtarza, że owe chlebodajne zawody znajdują się nie na tych drogach, jakimi kroczyliśmy dotąd, i że ich w kierunku przemysłu i handlu szukać wypada; ale są to jeszcze ogólniki, które dopiero coś napomykają, nie wskazując jeszcze niczego wyraźnie. Ztąd też widzimy wogóle jakieś ku nowym zawodom skierowanie myśli, jakieś próby nieśmiałe, które bardzo często kończą się tem, że ten, co w pewnym nowym kierunku podążał, cofa się po małym niepowodzeniu, lub, co najczęściej — mówi o nowych drogach, ale sam utorowaną ścieżką kroczy, albo nakoniec, nie mogąc się zdobyć na stanowczą decyzję, z miejsca nie rusza.

Z drugiej znów strony uprzedzenia do pewnych zawodów powstrzymują nasze decyzje: dodziśdnia praca fizyczna, pewne rzemiosła, poddanie się pod rozkazy przewodników — jeśli nie wstręt, to niechęć w nas budzą. Nietylko też nasi wychowawcy uprzedzeń tych pokonać w sobie nie mogą, ale my, rodzice i wychowawcy, nie możemy się odważyć w tę stronę naszych wychowawców kierować. My sami pragniemy koniecznie naczelnym stanowisk dla naszych synów, nie mogąc się na podrzędne, choćby przyzwoite byt zapewniające, decydować.

Jakżeby więc należało postępować, aby złemu zaradzić?

Przedewszystkiem — powie niejednen, że nic tu złemu nie zaradzi radykalnie: jeśli warunki społeczne się zmieniły, to musiała nastąpić epoka przejściowa — wahań, poszukiwań dróg nowych; pomalutko nowe te ujęcia się znajdują, ale na to trzeba czasu. I uprzedzenia się przełamują, bo brak chleba jest najpotężniejszym bodźcem do czynu. Tak jest niezawodnie; tylko niepodobna zaprzeczyć, a nawet niewolno zaprzeczać, że z losem potrzebna walczyć, uprzedzać jego ciosy, a nie wycekiwać ich trwożliwie. Przez takie zabezpieczanie się — ocalimy niejednego, przyspieszymy chwilę jasnego zdawania sobie sprawy ze stanu ekonomicznego kraju i sposobów zapewnienia bytu.

Dlatego powinniśmy się zastanawiać nad danymi okolicznościami, badać stan rzeczy, zasięgać rad od znawców i ludzi doświadczonych,

aby od ruiny się zabezpieczyć. Sądę zatem najpierw, iż konieczną jest rzeczą, aby ludzie mający do tego dane nie skąpili swojego głosu w tak ważnych sprawach. Niedość będzie tylko, jeśli wygłosimy zdanie ogólne, że przemysł daje bogactwo narodowi, że młodzież nasza tam podążać powinna, ale potrzeba jeszcze, aby ludzie pracujący w pewnych zawodach przemysłowych wyjaśnili dobitnie: jaka mianowicie gałąź przemysłu otwiera pole zarobku, do jakiego stopnia pole to jest otwarte, oraz — jak się usposobić, aby dany zawód zapewnił kawałek chleba?

Niech szkoły specjalne, chociażby te, jakie mamy, np. handlowe, techniczne, szkoły rzemiosł, dostarczą na użytek publiczny wiadomości: jakie losy spotkały dotychczas ich wychowawców; niech i sami wychowawcy tych szkół powiedzą do czego ich szkoła usposobiła, i jakie napotykali trudności, nim dobili się do swego stanowiska.

A może też wypadałoby się rozejrzeć i po fabrykach: czy i tu nie ma pewnych złudzeń? Może, nie aspirantów do pewnych zawodów brak u nas, ale raczej fabryk za mało, aby ich odpowiednio pomieścić i uposażyć; może te fabryki są w rękach, które nie chcą lub nie umieją wytworzyć z miejscowego żywiołu swoich pracowników?

A i z uprzedzeniami walczyć potrzeba: niech wychowawcy nasi nie widzą, nie słyszą naszego lekceważenia tych, co z książką i piórem od święta tylko mają stosunek. Dobrze są niezawodnie teatru, wystawy sztuk pięknych, starożytności i t. p.: nie można ganić, że je z młodzieżą zwiedzamy; ale zwiedzajmy i fabryki, wyjaśniajmy ich działanie, dobroczynne wpływy na byt kraju; zwiedzajmy i warsztaty rzemieślników, budźmy do nich zamiłowanie. Niech pisma, które młodzież czyta, pamiętają o tem zadaniu, a przyniosą istotną usługę młodym czytelnikom.

Kiedy do wspólnej narady używamy ludzi specjalnie wykształconych, to i nam, nauczycielom — przystoi również wypowiedzieć zdanie o rzeczy, która z naszą specjalnością ma najbliższy związek. Jaki rodzaj szkół w danych razach wybierać należy?

Nie piszemy rozprawy akademicznej, dlatego uchylamy się od przytaczania dowodów, oile klasycyzm lub realizm wywiera wpływ na rozwój umysłu.

Przyjmujemy nawet z góry dobroczynny wpływ jednego i drugiego kierunku w tym razie. Tego przecież trudno zaprzeczyć, iż jedne z przedmiotów wykładanych w szkołach więcej mają związków z życiem praktycznem, więcej do praktycznych celów sposobią, drugie mniej. Nauki przyrodnicze, matematyka, rysunek techniczny, bezpośrednio sposobią do zajęć z przemysłem mających związek — to nie ulega chyba wątpliwości. Szkoły realne zatem bezwątpienia więcej do praktycznego zarobkowego życia uzdalniają.

Gdybyśmy mogli się obawiać, iż młodzież nasza wszystka rzuci się tylko do pracy w kierunku przynoszącym zyski materialne, że wskutek jakiegoś artykułu w czasopiśmie zamieszczonego zamknięte zostaną przybytki klasycyzmu: wtedy z pewnością bronilibyśmy posterunku idealne korzyści niosącego, a przynajmniej obiecującego. Ale — widzimy najpierw, że i u nas znajdują się obrońcy kierunku nazywanego *idealistycznym*, powtóre, kilkanaście szkół klasycznych w Warszawie napełnionych po brzegi najzdolniejszą młodzieżą, — gdy realnych parę zaledwie na kraj cały: możemy być więc spokojni o klasycyzm, a z nim o korzyści idealne. Ale i szkoły klasyczne do pewnego stopnia torują drogę do źródeł chlebodajnych; mają one nawet bardzo wysokie przywileje, bo otwierają bramy uniwersytetu, ten zaś, a przynajmniej jego wydział medyczny, jak obecnie — korzystne stanowisko zapewnia. Nawet kurs gimnazjalny, czyli kurs czterech klas niższych, daje kwalifikacje wymagane do zawodu aptekarskiego oraz do seminariów duchownych.

Jeśli jednak kto nie jest adeptem do tych zawodów, musi poprzestać tylko na „rozwinieciu umysłu“ przez klasycyzm, bo podstaw naukowych, jakie zapewnia kierunek realny, do innych

zawodów klasyczne gimnazya mu nie zapewniają. Nadto — nie pomyślę się, jeśli powiem, że kierunek realny wyciska na ogóle swoich wychowawców pewne piętno praktyczności, że wytwarza zainteresowanie się zamięłowaniem, uzdolnienie do rzeczy bezpośredni związek mających z przemysłem; przeciwnie — filologiczny od tego odwodzi. Gdzie zatem o zapewnienie sobie i rodzinie bytu rozchodzić się musi, tam, jeśli o wydziale medycznym, aptekarskim i stanie duchownym nie myślimy, wybór chyba nietrudny.

II.

Przejdźmy do naszych szkół żeńskich.

Od pewnego czasu szkoły nasze żeńskie a szczególnie t. z. pensye, doznają niełaski prasy. Nie mogą mieć żadnego osobistego widoku w podnoszeniu ich obrony, ale dość się czują upoważnionym do mówienia o nich, bo kilkanaście lat pracy w tych zakładach — dało mi je poznać do gruntu. A chociaż w kilku tych szkołach tylko pracowałem, to o wielu z nich słyszało się poufne relacje od kolegów, którzy szczerze mogli swe zdania wypowiadać. Otóż — oile sądzić mogę z własnego doświadczenia i porównania tych szkół z zagranicznymi — to bardzo wysoko je stawiać należy. Nie powinno też to obrażać ich przewodniczek, iż publicznie ośmielamy się to wyznać, że ich starania i poświęcenia za wzór tylko stawiane być mogą. Są zapewne wyjątki, ale — doprawdy — nie wiemy nawet o nich.

Szkołom tym przyznać należy również, iż najznakomitsze siły pedagogiczne koło siebie zgromadzały. Mając takie przekonanie, wyjaśnić sobie inaczej nie możemy: dlaczego pisma nasze występują przeciw nim z filipikami, jak tylko tem, że autorowie artykułów podobnych, albo nie znają szkół, o których piszą, albo też nakoniec o pedagogii wyobrażenia nie mają.

Nie myślę tu dowodzić, aby i te szkoły nie mogły mieć swego „ale“, twierdząc jednak, że zarzuty, jakie je spotykają, najczęściej nie są usprawiedliwione, albo jeśli są, i słuszne, to często nie mają odpowiadającej sobie winy jednostek prywatnych.

Spotykamy np. zarzuty, iż programy tych szkół są zaobszerne, albo zawysokie. Jako dowód wymieniane bywają przedmioty takie, jak: higiena, pedagogika, nauki społeczne, estetyka. Otóż, najpierw przedmiotów tych obecnie niema jako przedmioty oddzielne, examinowe — były chyba dawniej; powtóre, gdyby były nawet, nie świadczyłoby to wcale na niekorzyść tych szkół: przeciwnie, nie uważamy żadnej szkoły za dobrą, która w jakikolwiekby sposób nie zwraca uwagi uczniów na higienę, estetykę, stosunki społeczne; a każdą szkołę żeńską zawsze wyżej stawiać będziemy, jeśli jej wychowawice zaznajomione będą z tem, co ich cel główny życia stanowić będzie, t. j. z zasadami wychowania i nauczania, czyli pedagogiki i dydaktyki. Naturalnie, nie może tu być mowy o wykładach wysokich, specjalnych, bo na to ani czas nie pozwala, ani odpowiedni rozwój umysłu; chodzić tu może tylko o wiadomości z tych dziedzin dostępne a udzielane, już-to okolicznościowo przy innych przedmiotach lub czytaniu, już-to w pogawędkach popularnych. Jednem słowem: chodzić tu musi, jak wszędzie i zawsze, o to, aby to, czego się uczy, wykładane było stosownie do czasu i sił umysłowych słuchaczy. To punkt w pedagogii główny, jedyny, a wszelkie inne względy, czy formy szkolne, zależą od okoliczności.

Zarzucają tym szkołom także, iż przeciążają. Zarzut ten bywa niekiedy sprawiedliwym a, oile zależy on od szkoły, to obciąża nauczycieli. Przyszliśmy i przyznajemy, iż pensye żeńskie — przynajmniej pierwszorzędne — szczerzyć się mogą najlepszymi siłami nauczycielskimi. Wszyscy ci nauczyciele są niezawodnie znawcami przedmiotów, które wykładają; są pomiędzy nimi i tacy, którzy, i przez znajomość teorii nauczania, i przez praktykę, stali się wybornymi pedagogami; wie-

lu samo doświadczenie wyrobiło; ale są i tacy, których wykłady nie odpowiadają wymaganiom pedagogii.

Metodyka wogóle u nas bardzo chroma, i może niema u nas ważniejszej a więcej zaniedbanej rzeczy, nad metodykę: nasi pedagogowie nie lubią śledzić jej postępu, podrepczników też metodycznie ułożonych brak niezmierny. Z tego powodu i przeciążenie być musi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

XII.

„Bogiem a pracą“.

Dla szczęśliwych czas szybko leci...

Pierwszy rok małżeństwa przemknął dla Krzysia i Frani, jak na skrzydłach; ani się spostrzegli, kiedy minął, i nie byłoby rachowali godzin swojego szczęścia, gdyby ich jeszcze najwyższa radość nie czekała, którą ludzie niedarmo „błogosławieństwem Bożem“ nazwali.

Z uśmiechem błogiej rozkoszy na ustach a z wyrazem tego uroczego zaleknienia w oczach, z którym młode małżatki wspominać zwykły o najszczytniejszej godności, jaką im natura przeznaczyła, tuląc swą główkę do piersi męża, szepotała Frania pocichu, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Ja się tak boję!.. mój drogi, mój złoty, mnie taki strach ogarnia...

W takich chwilach, z drżącym od niepokoju sercem, a dumny swoim niedalekiem już ojcostwem, Krzys w obie dłonie ujmował jej twarzyczkę, podnosił w górę głowę żony i z najgłębszą miłością spoglądając jej w oczy, uśmiechał się do niej, dla dodania sobie i jej otuchy i mówił:

— Nie bądź dziecinna, Bóg da, że wszystko będzie dobrze, zobaczysz — no, zobaczysz!..

I okrywał pocałunkami jej oczy, czoło, usta, obejmując w ramiona swój skarb najdroższy, który teraz już nazawsze do niego należał, którego mu nikt odmówić, zabronić i odebrać, oprócz samego Boga, nie śmiał.

Zdawało mu się, że cały świat i całe życie nie mu już więcej lepszego, droższego, bardziej upragnionego dać nie potrafi; czuł się tak szczęśliwym i zadowolonym, tak pewnym swego szczęścia, że niczego więcej nawet w myślach nie pożądał dla siebie.

— Więc ty koniecznie chcesz, żeby nasz mały nazywał się Krzysiem?... Pytał żonę w poufnych rozmowach, które teraz coraz częściej prowadzili ze sobą na osobności.

— A rozumie się! — odpowiadała mu, jakby zdziwiona, że może powątpiewać o tem, aby jego syn nie nosił ojcowskiego imienia.

— Jakżeż to będzie, — próbował się opierać — będziesz miała dwóch Krzysiów w domu, mnie i jego?... to nas będzie bałamuciło.

Śmiała się do niego, trochę zawstydzona i spuszczała oczki, powtarzała:

— Nie bój się o to, już my się porozumiemy. Mówiłam ci tyle razy, że na ciebie będę wołała Krzys, jak dawniej, a na niego Krzysiek... Krzysiek!.. słyszysz?... jak to brzmi dobrze. To zaraz każdy sobie wyobrazi takie chłopczysko tęgie,

tluste, czerwone jak jagódka, a takie pyzate, o takie!..

Wydymała przy tem policzki, aby mu pokazać, jak będzie wyglądał ich pierwszy syn, ich pociecha, którą oboje kochali już i pieścili w myślach jeszcze przed urodzeniem; on śmiał się głośno, zadowolony i całował żonę po rękach, powtarzając za nią:

— Krzysiek!.. Krzysiek!.. będziemy go karmili, żeby był o taki, o taki grubas!..

— A oczki musi mieć niebieskie, — poddawała ona.

— Dlaczego niebieskie koniecznie?... a może właśnie czarne?...

— Nie, oczki będzie miał takie, jak tatuś, — zobaczysz.

— Takie, jak mamusia.

— A kiedy takie, jak tatuś.

— Jak mamusia.

— A ja mówię, jak tatuś.

— Założmy się.

— Co się mamy zakładać; niech ma, jakie zechce. Ja go będę z każdymi jednakowo kochała. Nasza malota!..

Mówiła to z pieściwem rozrzwinięciem, jak gdyby już w kołysce widziała przed sobą tego pyzatego aniolka, uśmiechającego się do niej i odslaniającego w uśmiechu różowe dziąsła bez zębów podnoszącego pulchne piąstki do buzi; oczy jej świeciły się łzami rozkoszy i szczęścia bez miary.

Ułożyli się, że jeżeli Bóg im da córkę, zamiast syna, to będzie nosiła imię matki i dla odróżnienia będą ją także nazywali Franką, naszą Franką, jak prostą dziewczuchę, bo to będzie dziewczucha, jakich mało.

I znowu między młodem małżeństwem powtarzała się tasama scena przekomarzania, co i na myśl o owym Krzysku z niebieskimi oczyma.

Stary Fatt kilka razy dziennie wysyłał syna z kantoru, pomimo pilnej roboty w fabryce. Mówił mu:

— Idź-no zobacz, co tam w domu słychać i wracaj.

Nie trzeba go było namawiać do tego. Szedł i wracał zawsze rozpromieniony, a za całą odpowiedź całował ojca w ramię, jakby na podziękę za troskliwość, którą stary okazywał synowej.

— No, cóż tam, dobrze?...

— Doskonale.

— Frania zdrowa?... dobrze się czuje?

— Wybornie.

— Chwała Bogu!.. Przejrzyj-no fakturę Shuttlewortha i Spółki, coś tam nie w porządku być musi. Summa mi się nie zgadza.

I znowu swoim trybem szło obowiązkowe zajęcie przy wyczekiwaniu wnuka, który mieścić się musiał między kolumnami cyfr, częściami maszyn i kopiowaną korespondencją na firmowych blankietach.

Za sprawą Krzysia blankiety owe ozdobione były teraz u góry rysunkiem, który on sam zaprojektował.

Wśród ułożonych zgrabnie narzędzi rolniczych i maszyn, umieszczony był widoczek fabryki, a nad nią na rozwiniętej wstędze czernił się napis: „Wilhelm Fatt“, u góry zaś, jako nowy do dattek, wypisane było w cudzysłowie godło, powtarzane tak często przez starego założyciela firmy.

— Prawda, to będzie nie złe, zamiast tych sztywnych liter w nagłówku na dawnych naszych blankietach? — mówił Krzys do ojca, pokazując mu swój rysunek.

Stary głową skinął potakująco, a wskazując palcem na napis u samej góry, spytał trochę zdziwiony:

— „Bogiem a pracą“?... cóż to znaczy?...

— To?... nie poznaje ojciec?... to przecież ojca ulubiona dewiza: „Mit Gott und mit Fleiss“, którą nam ojciec zawsze powtarza. Ja chciałem umyślnie umieścić ją jako godło całej fabryki.

Staremu oczy się rozjaśniły.

— To to popolsku będzie: „Bogiem a pracą!..

Któż ci to tak przetłumaczył?

— A tośmy z Franią nad tem myśleli oboje i ona ostatecznie poddała mi taką dewizę.

— To ładnie brzmi popolsku, — wtrącił po chwili Fatt — Bogiem a pracą! — „Mit Gott und mit

Fleiss“, — krótsze i jakieś takie — mówił dalej, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia na wyrażenie jedności tej maxymy.

— Tak, tak, z Bogiem ciągle i z pracą zawsze, to można dużo zrobić i dobrze. Mnie ta dewiza nigdy w życiu nie zawiodła, ale i ja od niej na chwilę nie odstępowałem.

Poklepał syna po ramieniu i dodał:

— Dobrze, dobrze, każ robić blankiety; mnie się to podobało. „Bogiem a pracą“, *es ist recht*. To lepiej nawet brzmi popolsku.

I po trzydziestu pięciu latach „Ceres“ otrzymała dewizę przy swojej firmie; trzydziści i pięć lat bowiem upływało właśnie od założenia fabryki, a ta rocznica zesła się jednocześnie z przybyciem na świat nowego wnuka, którego szef firmy oczekiwał z większym wprawdzie spokojem od swego syna, ale z niemniejszym zadowoleniem i troskliwością o zdrowie synowej.

Pewnego dnia Krzys wysłany przez ojca z kantoru, aby się dowiedział, co tam w domu słychać, nie wrócił tak rychło i przysłał tylko służącą z oznajmieniem, że:

— Pan dopiero za godzinę przyjdzie, bo jest syn i córka.

Stary Fatt aż się rzucił na swoim skórzanym fotelu, usłyszawszy tę wiadomość, i z niedowierzaniem zawołał:

— Co?... bliźnięta?...

— A tak proszę pana, takie śliczne, jak malowanie, — objaśniała służąca — a takie zdrowe, na psa urok! — że aż miło popatrzeć.

— No, no, patrzajcie! — z uśmiechem zadowolenia, przegarniając swą siwą i powichrzoną jak zwykle czuprynę, powtarzał uszczęśliwiony dziadek — a to niespodzianka!.. to niespodzianka!..

Śmiał się i palcami bębnił po rozłożonych księgach na biurku.

— A pani jak się miewa? — spytał nagle z troskliwością.

— Co się ma źle mieć!.. dziękować Bogu, dobrze się ma.

— A to chwała Bogu, to chwała Bogu!..

Zdawało się, że odmłodniał i że mu rzeźkości przybyło pod wrażeniem tej nowiny.

— Powiedz państwu, że ja tam przyjdę.

Potem kazał sobie podać tylko papiery ze stoika Krzysia i zabrał się do odrabiania jego zajęć, aby wyręczyć syna, którego ojcowskie szczęście w domu zatrzymało. Robota nie powinna czekać nawet dlatego, że Pan Bóg dał niespodzianie bliźnięta.

To swoim porządkiem, a tamto swoim.

Ostatni o wnukach dowiedział się Pęczyński, którego interessa fabryki do późnego wieczora zatrzymały na mieście.

Z początku tak samo, jak Fatt, uwierzyć nie chciał, że został dubeltowym dziadkiem, dopóki się na własne oczy nie przekonał i nie nakreślił dwóch krzyżyków nad główkami śpiących i nakarmionych dzieciak „swej starej“.

Jubileusz fabryki postanowiono obchodzić uroczystie i połączyć go z rodzinnym świętem w rodzinie Fattów. W tym przedmiocie między ojcem a synem odbywały się poufne narady przy zamkniętych drzwiach w kantorze. Krzysowi chodziło o przyzwolenie ojca na projekt, który dawno ułożony był między nim a żoną.

— Myśmy sobie z Franią wybrali ojców chrzestnych, — mówił staremu nieśmiało — i bardzo-byśmy chcieli, ażeby nasze dzieci od kołyski związane już były z fabryką. W tym celu Frania proponuje...

Zatrzymał się, spoglądając na ojca, jakby badać chciał jego usposobienie.

— Kogóż?

— Frania proponuje, żeby naszych malców do chrztu trzymała cała fabryka.

— Cała fabryka?..

— A tak, sami robotnicy. Będziemy mieli kilkuset kumów, — dodał z żartobliwym uśmiechem.

Fatt namyślał się chwilę.

— Widzi ojciec — ciągnął dalej Krzys — to się właśnie tak dobrze składa, że święto fabryczne możemy zamienić na święto rodzinne. Ja przecież potrosze także do nich należałem, stałem z nimi przy jednym kowadle. Tyle lat z żyjemy z sobą

razem i pracujemy, więc stanowimy niejako także jedną rodzinę. Oni mnie wszyscy kochają, jak swego, bo wielu z nich pamięta mnie i Franę dziećmi jeszcze. Wolę mieć takich kumów, niż innych; w złych czy dobrych chwilach będę mógł liczyć na nich, jak na swoich...

Zdawało mu się, że stary ma coś do zarzucenia tym zamiarom, ale on nie słuchał nawet wywodów syna; myślał już o tem, którzy z najstarszych i najwierniejszych jego robotników na swoich spracowanych, grubych rękach będą mogli podać do chrztu wnuka i wnuczkę i przechodził w pamięci nazwiska kowali, maszynistów, giserów, majstrów i podmajstrzych swojej fabryki.

— No, to trzeba, żebyś ich sam zaprosił,—odezwał się wreszcie—najlepiej będzie zrobić to jutro przy wypłacie, a zresztą naradz się jeszcze z Pęczińskim.

— Więc ojciec się nie sprzeciwia temu?

Stary ustami prychnął, obrażony tem przypuszczeniem.

— Także!.. co mam się sprzeciwiać? że chcesz ucziwych ludzi, którzy nam pracują ciężko, mieć za chrestnych ojców dla swoich dzieci, temu miałbym się dziwić?.. Sensu niema! Nawet mi to przez głowę nie przeszło.

Spojrżeli sobie w oczy i uściśnęli ręce. Sprawa była postanowiona.

Krzysiek i Franka mieli zostać chrześniakami fabryki.

— Ale słuchaj—noty,—zawrócił uradowanego syna Fatt już odedrzwii,—przecież to i Pęcziński trzydzieści pięć lat u nas pracuje!.. Tak, tak,—twój teść jednego dnia ze mną stanął do roboty w fabryce. Dobrze, że mi to na myśl wpadło. To przecież nasz najstarszy officialista: to i jemu należy się jubileusz. Przyślij-no mi tu Pęczińskiego: muszę ja się z nim rozmówić.

Za chwilę stary inkassent stawiał się w kantorze pryncypała.

Fatt podał mu rękę i wpatrując mu się w oczy, kiwał głową w milczeniu.

— Siadaj Pęcziński,—rzekł wreszcie—musimy z sobą pogadać, siadaj stary.

— Kiedy bo czasu niema, mam na jutro listę płacy wykończyć,—wymawiał się.

— Czekaj, czekaj, jeszcze zrobisz wszystko na termin, ja cię znam. Słuchaj-no, będziemy mieli dwa święta w fabryce. Trzydzieści pięć lat!.. to pewnie ostatni jubileusz, jaki z wami obchodzić będę,—mnie już tam krócej, niż dłużej. Przecież ty jedyny mój świadek od założenia fabryki, prawda?.. A widzisz, panie Pęcziński, toż to i twój jubileusz, a tyś o tem zapominał zupełnie.

Stary officialista ręką machnął.

— Było o czem pamiętać!—rzekł.

— Rozumie się, że było; drugich trzydziestu pięciu lat nie spędzimy już ze sobą. Nam z pola już, mój kochany!.. Alboż to ja nie patrzałem na twoją pracę, alboż nie wiem, ile przez twoje ręce przeszło pieniędzy! Miliony, miliony!.. żebyś to wszystko chciał dzisiaj naraz przeliczyć, tobyś do samej śmierci już nie skończył.

Patrzył w niego i ciągle głową kiwał.

— A grosza mi jednego nigdy nie uroniłeś, pamiętam, pamiętam!..

— A no, jakoś Bóg strzegł od straty i pomyłki.

— Bóg strzegł, aleś i ty mojego dobra pilnował.

Uściśnął go serdecznie, nie wypuszczając jego ręki ze swojej dłoni.

— Słuchaj-no—zagadnął go nagle—czyś ty opuścił kiedy choć jeden dzień ze służby przez ten cały czas?—nie mogę sobie przypomnieć.

Pęcziński uśmiechnął się z zadowoleniem, ale po chwili twarz mu sposepniała.

— Opuściłem dwa — odparł po krótkim namyśle.

— Dwa dni jednak opuściłeś?... no, no, to coś ważnego!..

— Jeden, kiedy mi żona umarła, a drugi, kiedy musiałem... kiedy musiałem się przenieść tam... do tego nieszczęsnego Burakówka,—dodał ciszej, jakby nie chciał przykrych budzić wspomnień tą nazwą w umyśle swojego szefa.

— Więcej chyba nie świętowałem z własnej winy,—dorzucił na zakończenie.

— I nie chorowałeś nigdy?...

— Et, kwękało się tam czasami, ale... „skrzypiące koło przecież najdłużej ciągnie“, jak to mówią.

— No, patrzaj, patrzaj!.. a to przecież kawał czasu minęło.

Spuścił głowę i zamyślił się, jakby zbierał wspomnienia; oczy mu mgłą zasłzy, posmutniał i milczał, potem po dłuższej przerwie ocknął się z westchnieniem i żywiej powiedział:

— Ha, no—to będziemy we dwójkę obchodzili nasz jubileusz, skoro tylko nas dwóch starych wytrzymało na swoich miejscach. Dziękuję ci, mój Pęcziński, żeś mi tyle lat wiernie pomagał.

Uściśnęli się, pokrywając rozrzewnienie, i zaczęli mówić o czem innem.

W ten sposób postanowione zostało potrójne święto na jeden dzień, który miał być nadługo pamiętnym w fabryce i rodzinie Fattów.

Po warsztatach i kuźniach, skoro rozeszła się wiadomość, że młodszy pryncypał wszystkich robotników w kumy zaprosił, obradowano długo i szeroko nad sposobem uświetnienia potrójnej uroczystości. Po „fajrancie“ odbywały się formalne wiecze w tej sprawie, starsi i młodszy układali program fabrycznego święta, które miało zająć cały dzień od samego rana.

Zapowiedziano, że wszelkie roboty ustaną dnia tego; w kościele miało się odbyć nabożeństwo, zakupione przez wszystkich pracowników fabryki, po wotywie i obrzędzie chrztu świętego w kościele, cały orszak miał wyruszyć do domu pryncypała. Każda brygada wybrała po dwóch przedstawicieli, którzy mieli zanieść życzenia swoim pracodawcom i złożyć zbiorowy upominek firmie.

W ślusarniach potajemnie przygotowywano prawdziwy majstersztyk w postaci dwóch kołosek na stalowych biegunach według pomysłu i rysunku jednego z techników fabrycznych.

Wszystkie budynki zewnątrz miały być wieńcami z kwiatów i choiną ozdobione, chorągiewkami obwieszane, a wieczorem uilluminowane.

Na obszernym dziedzińcu przy rozstawionych stołach zasiąść mieli do uczy robotnicy przy dźwiękach muzyki; w program zabawy wchodziły i tańce pod gołym niebem.

Dzieci z miejskiej ochronki, założonej przed laty przez głównego pryncypała i utrzymywanej jego kosztem, uczyły się śpiewów choralnych i wierszyków ułożonych umyślnie przez nauczycielkę tego zakładu.

Oprócz tego, mnóstwo innych przygotowywano niespodzianek dla uświetnienia pięknego dnia uroczystości jubileuszowych.

Nawet w dziennikach znalazły się wzmianki o przygotowaniach do fabrycznego święta, jakkolwiek cały obchód miał mieć cechę zupełnie prywatną i zamkniętą w obrębie starych, okopconych murów „Cerery“.

Krzysiek chodził upojony myślą o swoim ojcowskiem i małżeńskiem szczęściu; nie posiadał się z radości, gotów był cały świat przycisnąć do piersi i objąć w ramiona.

Krzysiek i Franka wydawali mu się parą aniołków najpiękniejszych z całego nieba. Wszystko go w nich zachwycało i wprawiało w zdumienie.

(Dokończenie nastąpi)

HYPNOTYZM.

Liczba prac w zakresie hipnotyzmu w ostatnich kilku latach wzrosła do takich rozmiarów, poglądy w nich są tak różnorodne, iż utworzył się z tego prawdziwy labirynt, z którego wydostać się nie łatwo, a to tem bardziej, że dane, jakie jeszcze przed niedawnym czasem uważane były, nawet przez największe powagi naukowe, za pozytywne, dziś już zostały zachwiane i zastąpione przez nowe hipotezy i poglądy.

Ponieważ tedy hipnotyzm jest zjawiskiem, które bezustannie budzi niezmienniejszące się z cieka-

wienie, ponieważ wróżyć mu można wybitne znaczenie, jakie bezwątpienia zajmie z czasem w medycynie, sądownictwie a może nawet i w pedagogice,—dla tego przedstawimy tu najnowsze naukowe poglądy, streszczając zamieszczoną w ostatnim zeszycie „Humboldt'a“ pracę D-ra Alberta Moll'a.

Pomijamy historią hipnotyzmu, która została wyczerpana... do znudzenia.

Według niektórych badaczy procent osób, które podlegają hipnotyzmowi, t. j. stanowią *media*, dochodzi do 97 a nawet 98, na co zresztą wpływają rozliczne momenta, na które tu zwrócimy uwagę. Co do wieku, to dzieci przed 7-ym rokiem życia trudno podlegają hipnotyzmowi, a przed 3-im prawie wcale. Dzieje się to dlatego, że u tak małych dzieci niezmiernie trudno, albo nawet niepodobna, skierować umysłu na jedno jakieś stałe pojęcie lub przedmiot; za to osoby, które uważano za niepodlegające działaniu hipnotyzmu, a mianowicie: starcy w późniejszym wieku, usypiają doskonale, potrzeba tylko w tym celu poświęcić trochę więcej czasu. Płeć i narodowość nie posiadają żadnego znaczenia. Bardzo znaczny wpływ wywiera nastrój dobowy osoby usypiającej, mianowicie jej wiara w hipnotyzm.

I tak: osoby, które pragną być uspionymi, bądź to w celach naukowych, bądź też w leczniczych, wpadają w sen magnetyczny z wielką łatwością. W ogólności powiedzieć można, że osoby umysłowo zupełnie zdrowe podlegają najłatwiej, gdy bardzo wiele osób nerwowych, hysterycznych, a zwłaszcza dotkniętych chorobami umysłowymi, okazują się obojętnymi na działanie hipnozy.

Zjawiska hipnotyzmu są nadzwyczaj różnorodne, rozpadają się jednakże na dwie główne grupy. Do pierwszej zaliczają się zaburzenia w wykonywaniu ruchów dobrowolnych, do drugiej zaś zaburzenia w funkcjach zmysłowych, przyczem ta druga grupa jest o wiele mniejszą od pierwszej. Zaburzenia ruchowe bywają rozmaitej rozciągłości: od niemożności otworzenia oka aż do innych, już poważnych.

Jednym z najciekawszych objawów hipnozy jest bezzaprzeczenia poddawanie myśli *suggestion mentale*. Mało kto nie wie o tem, chociaż, być może, nie zdaje sobie z tego dokładnej sprawy, że suggestya możliwą jest i bez snu hipnotycznego, a stwierdzić to nam może przykład wzięty z codziennego życia. Dobrze znany jest fakt, że bardzo wielu ludzi zacierwienia się, gdy im powiedzieć: „Ależ pan się zaczerwieniłeś“, t. j. kolor na twarz występuje skutkiem tego, że wniósłszy w kogoś przeświadczenie o zacierwieniu się. Zjawisko to nazywamy *poddawaniem*, a przy jego pomocy udaje się u uspionych snem hipnotycznym wywoływać rozliczne zaburzenia funkcjonalne.

Owo poddawanie myśli wywierać może bardzo wielki wpływ na przyrząd mięśniowy, i to oddzielnie, w pewnych grupach mięśni. Wystarczy często powiedzenie uspionemu: „Pan nie masz siły poruszyć ramieniem“, aby ramię pozostało najzupełniej nieruchomem, zdrgnięciem. Innym razem, gdy powiemy: „Masz ruszać ręką“, będzie z pewnością nią ruchy wykonywał. Można np. uczynić rękę u uspionego niezdolną tylko do pewnych czynności, gdy inne pozostają w całej swej mocy; gdy powiemy mu: „Pan nie możesz pisać“, ale inne czynności jesteś w stanie wykonywać“, skutek nastąpi natychmiast. Ktoś inny nie będzie mógł skutkiem otrzymanego polecenia grać na fortepianie, albo też objawi się w nim tylko niemożność zagrania wzbronionego utworu, gdy inne będzie mógł wykonywać jaknajdokładniej. Można także podzielać poddawaniem na władzę mówienia; dosyć powiedzieć: „Pan nie umiesz mówić“, a zahipnotyzowany staje się zaraz niemym; „możesz tylko liczyć do 3“, i zacznie liczyć i poza trzy się nie posunie. Można także wywołać skurcz mięśniowy w całych grupach mięśni, skutkiem którego uspiony utrzymywać będzie członki, albo nawet całe ciało, w pozycjach najszczejgólniejszych i najniewygodniejszych, bez najmniejszego zmęczenia. Znacznie mniej zboczzeń wykazuje muskulatura niepodlegająca naszej woli (mięśnie serca, żołądka, kiszek, naczyń krwionośnych i t. p.) na wpływy hipnotyzmu. Udaje się niekiedy podzielać na mięśnie przewodu

pokarmowego i tak można np. wywoływać wymioty; zjawiska zaś ze strony serca i naczyń krwionośnych uważać można za nader wyjątkowe.

Zaburzenia zmysłowe bywają bardzo liczne. Wywołać gorzki albo słodki smak, za pośrednictwem poddawania, nie przedstawia trudności; podobnież można podzielać na zmysły powonienia i słuchu. „Pan słyszy taką a taką muzykę, albo bębnienie” — powiadamy do uśpionego, a natychmiast doznaje on tych wrażeń. Podobnież można wmówić w niego, że widzi osoby albo rzeczy, których przed jego siatkówką wcale niema: wystarczy powiedzenie, że się one znajdują, a natychmiast dozna odpowiednich wrażeń wzrokowych.

Wiadomo, iż złudzenia zmysłowe dzielą się na hallucynacje i iluzje; te ostatnie przedstawiają się chorem jako wyobrażenia fałszywe, podczas gdy pierwsze istnieją tylko dla zmysłów chorych, a nie w rzeczywistości. I tak za iluzją uważają, gdy np. mówi się, że książkę trzymają przed psem; za hallucynacją, gdy dany osobnik widzi np. w powietrzu ptaka lub latające zwierzęta po ziemi, gdzie ich niema. Otóż daleko częściej w stanie hipnotycznym występują iluzje, niż hallucynacje. I tak, lekkie bębnienie palcami po stole hipnotyzowani, gdy im poddać myśl, uważają za kanonadę armatnią, cebulę za jabłko i t. p. Iluzje przedstawiają w podobnych razach niejaki podobieństwo do widzeń sennych; tak jednych jak i drugich właściwością jest zwiększanie odbieranych wrażeń zmysłowych. Lekkie np. dotknięcie uważane bywa za ukąszenie przez psa, a nieznaczny szmer za uderzenie piorunu.

W przedstawieniu do wymienionych powyżej złudzeń zmysłowych, które nazwać-by można dodatkami (pozytywnymi), zauważono także i złudzenia ujemne (negatywne). I tak np. za hipnotyzowaliśmy A.; prócz nas znajduje się jeszcze w pokoju B. Powiadamy do A., że B. już poszedł; natenczas A. go już nie widzi, nie słyszy go, słowem B. nie istnieje już dla niego. Krzesło, na którym B. siedział, jest według A. opróżnione: siada na niem, a zatem na kolanach B., który jeszcze siedzi; doznaje skutkiem tego oporu, lecz istnienie B. nie przychodzi mu nawet na myśl. Widzimy z tego, że złudzenia ujemne jednocześnie odbywają się we wszystkich zmysłach: dowodnie wykazać to można jednakże tylko na niektórych. Powiadamy do A.: „Słyszysz teraz co B. mówi, lecz nie jesteś zdolnym go widzieć”. Wystarczy to najzupełniej, aby B. stał się do A. niewidzialnym, lecz głos wydawany przez B. słyszy A. najdokładniej, a nawet zawiązuje się między nimi formalna dysputa, jakkolwiek B. dla A. jest niewidzialnym.

W ostatnich czasach próbowano w ten sposób wywoływać zmiany chorobowe w tkankach organizmu, co najzupełniej się udawało, jak tego dowodzą spostrzeżenia dwóch najznakomitszych psychiatrów: Forel'a i Krafft-Ebing'a. Ten ostatni wykonał cały szereg doświadczeń naukowych na pacjentce, której poprzednio doświadczał już Jendrassik w Peszcie. Krafft-Ebing dotykał pacjentkę jakimś przedmiotem, o którym wmówił jej, że jest rozpalony, po pewnym zaś czasie w miejscu dotknięcia, stosownie do kształtu przedmiotu, występowały charakterystyczne pęcherze oparzelinowe. Uczonemu temu udawało się wywoływać innych także zmian chorobowych. Pewien znakomity, zasługujący na zupełne zaufanie specjalista chorób skórnych zapewnia, że takimsamym sposobem udawało mu się na skórze wywoływać zmiany patologiczne, których żadnymi innymi sztucznymi sposobami wywołać nie było można. Osoba badana przez Krafft-Ebinga podlegała w bardzo wysokim stopniu wpływom sugestji. Podawano jej różnorodne lekarstwa, które na wszystkich działają w jednakowy sposób i mniej więcej w oznaczonym czasie; tymczasem za pośrednictwem wmówienia, zdołano opóźnić ich skuteczność na czas bardzo długi. Analogiczne doświadczenia prowadził i Dr. Forel, a między innymi udawało mu się w przeciągu pięciu minut wywoływać *bąbelce*. Pamiętać potrzeba, iż sprowadzanie zmian anatomicznych należy do prawdziwych rzadkości, które, jak dotąd, ze stanowiska psychologicznego

uważać wypada za fakt kolosalnej doniosłości dla nauki teoretycznej; praktycznego znaczenia dziś jeszcze fakt ten nie ma.

Przyjrzyjmy się teraz z kolei zmianom we władzach umysłowych, objawiającym się skutkiem snu hipnotycznego. Przedewszystkiem zwróćmy uwagę na *pamięć*, która była powodem, w zakresie poruszonego tu przedmiotu, fałszywych poglądów. Przypuszczano, że zahipnotyzowani, po przebudzeniu się nie mają już najmniejszego pojęcia o tem, co podczas snu się odbywało. Tymczasem skutkiem badań w ostatnich czasach pokazało się, że uśpiony po przebudzeniu się zdaje sobie sprawę ze wszystkiego co się działo, gdy spał, a zupełna utrata pamięci wydarza się tylko w niektórych przypadkach. Ciekawem zjawiskiem, znanem już starym Mesmeristom, jest tak nazwana *podwójna pamięć*. Zjawisko to zasadza się mianowicie na tem, że usypiany po przebudzeniu się nie pamięta, co się odbywało w czasie snu, lecz uśpiony następnie po raz drugi przypomina sobie najdokładniej fakta zaszłe w poprzedniej hipnozie, a także wypadki rzeczywiste na jawie, w przerwach między dwoma uśpieniami. Zjawisko to jednakże obserwować się daje niezmiernie rzadko, albowiem wydarza się tylko podczas nadzwyczaj głębokiego snu hipnotycznego.

Sugestia na pamięć w ogólności wywiera wpływ bardzo wyraźny. Nawet po najtwardszym śnie hipnotycznym przypominają sobie uśpieni, co im nakazano przed uśpieniem.

Przy pomocy sugestji jesteśmy także w możności wywoływać t. z. *retro-aktywne* hallucynacje. Do osoby uśpionej X., powiadamy: „Zanim do mnie przyszedłeś, widziałeś palący się dom.” Opisuje jej dokładnie płonący dom, a X. nabiera najsilniejszego przeświadczenia, że w samej rzeczy ów dom widziała w ogniu. Innej znowu osobie Y. powiadamy: „Jeszcze dziś nie jadłeś śniadania, ani obiadu, jesteś najzupełniej naczczo”. Natychmiast Y. doznaje wielkiego głodu. W drugim zatem wypadku mamy do czynienia z *negatywną retro-aktywną hallucynacją*, w pierwszym zaś z *pozytywną*. Można zatem, jak widzimy, pewne fakty z pamięci hipnotyzowanych usuwać, a inne, które zupełnie nie miały miejsca, wzbudzić.

Wypada teraz zastanowić się nad najbardziej zajmującym zjawiskiem, które w początkach było przyjmowane z największym niedowierzaniem, a mianowicie nad sugestją po nastąpieniu przebudzeniu się (*posthypnotische Suggestion*). Wykazano za pośrednictwem całego szeregu doświadczeń, że wiele osób po przebudzeniu się ze snu hipnotycznego wykonywa czynności, które im poddano w czasie jego trwania. I tak powiadamy do uśpionego: „Pan nie możesz obecnie powiedzieć swego imienia”, a gdy tego w samej rzeczy uczynić nie zdoła, wydaję drugi rozkaz: „Po przebudzeniu się również nie będziesz mógł wymienić swego imienia”, i staje się tak w rzeczywistości: hipnotyzowany nie zdoła imienia swego wymówić. Kiedy indziej powiadamy do uśpionego: „W pięć minut po przebudzeniu się, klątniesz pan trzy razy w dłonie”. Rozkaz ten zostaje również spełniony. Najciekawszem zaś jest to, że osoby, które po przebudzeniu pozornie nie wiedziały co się podczas hipnozy z nimi działo, wykonywały mimo to zalecone rozkazy najskrupulatniej. Można schematycznie świadomość człowieka na dwie połowy rozdzielić: dominującą świadomość (*Oberbewusstsein*) i podrzędną (*Unterbewusstsein*). Wyjaśni nam to najlepiej przykład. Rozmawiamy np. z drugą osobą, a jednocześnie rozcieramy zziębnięte ręce, w celu rozgrzania ich. Ostatnia ta czynność, którą wykonywamy ze świadomością, lecz bez głębszego namysłu, stanowi ową podrzędną świadomość, gdy rozmowa prowadzona podtrzymywana jest przez świadomość główną. Otóż owe dwie świadomości stanowią dwie połowy jednej całkowitej świadomości; dominującą jest ta, przy pomocy której z wykonywanych czynności dokładnie zdajemy sobie sprawę, podrzędną zaś ta, przy której nie mamy o nich dokładnego pojęcia.

Gdy stan taki odniesiemy do sugestji po nastąpieniu przebudzeniu, to zobaczymy, że wykonywane rozkazy nie wkraczają w sferę świadomości

głównej, gdyż w niej istnieją jedynie te psychiczne czynności, o których posiadamy dokładne pojęcie. Według doświadczeń dokonanych przez Krafft-Ebing'a, gdy poddać osobie uśpionej, że, przebudziwszy się, będzie sama jedna w pokoju, natenczas po przebudzeniu się osoba taka, chociaż z pokoju nikt się nie wydalil, zachowywać się będzie tak, jakgdyby w samej rzeczy nikogo nie było. Poddawanie tego rodzaju myśli udaje się, nie tylko natychmiast po przebudzeniu się, lecz można wydawać rozkazy, które zostaną wypełnione po paru dniach, tygodniach, a nawet miesiącach. Najdłuższy termin, jaki w tym względzie oznaczono, był rocznym, wypadek zdarzył się w Nancy. Są to jednakże rzeczy wyjątkowe, zależne od osobistości *medium*; w większości wypadków bardzo rzadko udaje się osiągnąć zamierzony rezultat po tygodniach, a tem mniej po miesiącach. Co do kwestji: czy osoba wykonywająca polecenie poddane jej podczas snu hipnotycznego znajduje się w stanie normalnym; — to wykazano, że w większości wypadków zapada w nowy sen hipnotyczny, niekiedy jednakże wykonanie nakazanej czynności przychodzi do skutku w stanie prawidłowym.

Co do tego: czy osoby uśpione snem hipnotycznym tracą w zupełności świadomość swych postępów i woli, to powszechnie odpowiadają dziś w tym względzie przecząco. Nie należy przypuszczać, że zahipnotyzowany staje się pozbawionym woli autorem, który wszystko wykonywa bezwarunkowo co mu zostało poleconem. Wcale nie; gdy mu się jaki rozkaz nie podoba, to pomimo najgłębszego snu i jaknajenergiczniejszych rozkazów zahipnotyzowany go nie wykona. Dla tego też pogląd, że uśpiony ulega konieczności wypowiedzenia wszystkich swych tajemnic, nie wytrzymuje krytyki naukowej. Co pragnie zatrzymać w tajemnicy, tego mu i w czasie zahipnotyzowania wydrzeć nie podobna. Uskutecznić to można jedynie wówczas, gdy poddać uśpionemu, że znajduje się w otoczeniu osób, które nie potrzebują się krępować, i przed którymi nie ma sekretów. I wówczas jednakże poddawanie, które nie zgadza się z zasadami uśpionego, może nie osiągnąć zamierzonego celu — i w skutku też nie przyniesie wykonania narzuconych rozkazów.

Dr. Józef Starkman.

SIOSTRZYCZKA UBOGICH.

(Dokończenie).

VII.

Jakimże sposobem wszystkiego się o tej staruszce dowiedziała? Nigdy nie przekroczyła progu ustronnej kamieniczki na *Vicolo del Beccamorto*, a znała dokładnie schody wiodące na poddasze, znała ściany obdarte ubogiego mieszkania, znała każdy szczegół przeszłości gnębiącej teraz jej duszę. Pamiętała kiedy chłopcy przyniosły matce żarłakawek, kupiony z własnych oszczędności. Niby to skórka krolicza, a wygląda jak gronostaj prawdziwy. A teraz oni leżą pospół w grobie walecznych, nie mając nawet krzyża nad mogiłą. Ale za to białe mundury Austriaków pokraśniały od krwi. Co to za farba wspinała! Nazywają ją dziś kolorem Magenty.

Kotłują myśli, kipią wspomnienia w chorej głowie kobiety, która tymczasem siedzi na balkonie i, paląc papierosa, niby spokojnie rozmawia z księciem Mongibello: — Radabym kiedy zwiedzić Sycylią, Etnę, Palermo — wszystko, co godne widzenia na wyspie.

W mroczącym się świetle zachodu rozróżniała jeszcze doskonale rysy księcia, jego sępi nos, długą czarną brodę i niepościwie oczy. Doskonale znała wartość człowieka. Żadna uczciwa kobie-

ta nie dozwalała mu przystępu do siebie, nie chciała z nim rozmawiać. A oto ona z nim opuściła salon pełen gości, aby znaleźć się na balkonie sam-na-sam mówić księciu o Sycylii, kiedy on był właśnie Sycylińczykiem! Ale ona odważyłaby się dziś na wszystko, byle zagłuszyć wewnętrzną mękę cudzych myśli i przypomnieć.

— Chciałabym się wybrać do Sycylii, gdybym znalazła odpowiedniego przewodnika, któryby umiał mi pokazać wszystko, co piękne i ciekawe.

— Hrabino! — cicho szeptał książę. — I we mnie budzi się ochota do zwiedzenia raz jeszcze stron rodzinnych. Ciche doliny, malownicze urwiska... Byłem nie sam jeden tam się znajdował...

Piętrzą się myśli, gotują przetrachy nowe w rozgorączkowanym mózgu. Widzi przed sobą salę szpitalną, szeregi łóżek, w których spoczywają lub siedzą złamane życia rozbitki. Jedna z nich śpiewa... jak fałszywym, rozstrojonym głosem — a jednak melodia znana: kawatyna to z *Normy*.

— Nie można samotnie w taką podróż się puszczać, — mówi pani Krasieńska, opanowana przez jakąś furę zniszczenia, choćby własnego życia, własnej sławy. — Trzeba mieć przewodnika, a ze mnie lichy towarzysz, bo się lękam znaleźć osamotnioną... boję się!

Ostatnie słowa wydostały się z jej gardła zupełnie zmienionym głosem, i w chwili, gdy zachęcony książę chciał już objąć ramieniem wiotką jej kibić, zerwała się nagle z miejsca, i wpadła do salonu, wołając nieprzytomnie:

— Jestem nią! jestem nią! Oszalałam!

Albowiem w dźwiękach własnego zmienionego głosu rozpoznała głos żebraczki, za którą przebrała się była na owym balu maskowym, — głos Sory Leny.

VIII.

Błąkając się w szarym zmroku słotnego dnia po najuboższej dzielnicy miasta, Cecco Bandini spostrzegł nagle karetę, która na rozkaz ze środka zatrzymała się opodal, spostrzegł i lokaja w liberyi otwierającego drzwiczki powozu, z którego zwało wyskoczyła postać niewieścia, dziwnie zwinna, wiotka i powabna. Machylnie artysta skierował kroki swe w stronę tak rzadkiego w tej dzielnicy zjawiska, ciesząc się przeciwieństwem jasnej i wykwiintnej sukienki na tle szarych i odrapanych murów. Nagle poznał kogo ma przed sobą. To ona: poznał ją, przypomniał ją sobie, w chwili gdy przechodząc pod arkadą, zapuściła się w głąb dawnej żydowskiej uliczki, o domach wyniosłych jak fortece Gibelinów, domach dziś kryjących w sobie niewysłowione biedy, nędze i przemysł.

Przystanął i chciał się już cofnąć. Nie godzi się śledzić kroków pięknej pani, która na uboczu swój ekwipaż i służbę zostawia. Cecco Bandini wybierał się właśnie na dłuższą wycieczkę w Maremmy i obrzydzenie jego dla cywilizacji rosnęło na wspomnienie pobudek, które, według najnowszych powieści francuzkich, wiodą w podobne ustronia kobiety, należące do najpierwszego towarzystwa. Ale nie, nie. Samo przypuszczenie podobne wydawało się Bandiniemu wstrętnem, niegodnym tak młodej i pięknej istoty. Przystanął, bo i ona stanęła, rozglądając się dokoła obłąkanym wzrokiem. Mogła go widzieć, a nie dostrzegła, nie poznała. I oto znikła w pobliżkim domu. Bandini przed tym domem się zatrzymał i nie mógł jakoś na odejście się zebrać. Czarna i wązka i wysoka była ta kamienica, o spiczastym dachu, rzucającym się na dalekim w górze błękanie. Na żelaznym haku, z którego ongi w dni uroczyste powiewały sztandary lub perskie kołnierze, teraz wisiały łachmany kołysane wieczornym podmuchem. Okna, przeważnie potłuczone, wskazywały, iż był to jeden z owych starych domów, skazanych na zwalenie.

— Kiedyż tę rudę zrzucą? — spytał artysta siedzący opodal przekupki, która w piecyku pod ręcznym piekłem kasztany i gotowała dla przechodniów ziarna bobu. Wtem wzrok jego padł

na tablicę z nazwą ulicy: *Vicolo del Beccamorto*.

— Wszakże to tu mieszkała Sora Lena, tu na własne targnęła się życie?

I dobywając z kieszeni srebrnego pieniążka, a zpośród wikłających się myśli jedną od innych wyraźniejszą odnajdując, Cecco Bandini zwrócił się do przekupki:

— Podejrzanę to kąty, niepewna rudera. Przed chwilą wstąpiła tu jedna pani dla niesienia jakiegoś nieszczęśliwym. Ale kto odgadnie, jaka nieprzyjemność tu ją spotkać może? Oto pół lira na piwo. Jeśli owa pani dłużej nad kwadrans zabawi, a teraz właśnie bije siódma, dobiegnij do końca ulicy i zawołaj jej służby i powozu stojącego tam oto pod latarnią i niech lokaj idzie za swoją panią.

Domawiając tych słów, malarz odszedł śpiesznie, z uczuciem popełnionej niedyskrecji. Ale raz jeszcze obejrzał się za sobą. Powiewające z dachu łachmany jakimś złowrogiem napełniły go wrażeniem.

IX.

Pani Krasieńska przebiegła śmiało długą ciemną bramę i śmiało też wstąpiła na wschody, sięgających chyba dantejskich czasów, a zużyte przez całe pokolenia magnatów lub nędzarzy. Tu i owdzie zakratowane okienko szczupłego udzielało oświetlenia. Na pierwszym piętrze z pół otwartych drzwi wybuchały odgłosy pijanej kłótni. Ale nie bacząc na nic, młoda kobieta spieszyła w górę, stopień za stopniem, piętro po piętrze. Nie oglądała się, ani naprawo, ani nalewo, nareszcie stanęła u drzwi poddasza, gdzie ostatni promień zachodzącego słońca wdzierał się szczeliną, jakby zapraszając do wejścia. Pustki tu były zupełne, względnie jaśniejsze, aniżeli na dole. Zapomniany stolik, opustoszona klatka: oto jedynę sprzęty dużej i obdarłej izby, o brudnych ścianach i wytłuczonych szybach.

Pani Krasieńska szybko zbliżyła się do okna i spojrzała na sąsiednie dachy, wsłuchując się w dochodzący z niedalekiego kościoła odgłos dzwonów na Anioł Pański. Na oknie stała doniczka ze zwiędłą roślinką. Dotknęła palcem zeschłej twardej ziemi, spojrzała ku pustej klatce, — i rozplakała się głośno.

Ale po chwili opamiętała się znowu, mechanicznie zwróciła się do drzwi i zamknęła je starannie. Następnie poszła w ciemny kąt, po odstawiony tamże stół, i wyciągnęła go aż ku środkowi izby, pod hak sterczący z belki. Stanęła na nim, usiłując zmierzyć okiem wysokość posowy. Mogła jej dosięgnąć ręką. Zdjęła tedy rękawiczki i kapelusze, rozpięła pasek srebrzysty i przytwierdziła go jednym końcem do złowrogiemu haka. Nareszcie rozwiązała muślinową na szyi chusteczkę, i stojąc na chwiejącym się krzeselku, bezprzytomnie ją powtarzała wyrazy Modlitwy Pańskiej, tak jak ją odmawiała od dzieciństwa przed udaniem się na spoczynek.

Wtem drzwi skrzypnęły i zwolna się rozwarły. W progu ukazała się obdarta, nędzna i śmieszna postać Sory Leny.

Gdy lokaj i przekupka z dołu po chwili weszli na poddasze już się dobrze w niej ściemniło. Pani Krasieńska leżała zemdlna na środku obok przewróconego krzeselka, pod hakiem, u którego wisiał jej własny srebrzysty pasek. Gdy odzyskała przytomność, obejrzała się wkoło, poprawiła przy szyi rozpięty kołnierzyk, a zegnając się znakiem Krzyża Świętego, wyszeptała zeicha:

— O Boże! nieskończonem jest miłosierdzie twoje.

Taka jest powieść o pani Krasieńskiej, znanej pod imieniem matki Anieli wśród Siostrzyczek Ubogich.

ECHA LITERACKIE.

21. „Śmiech i łzy“. Tytuł zbioru poezji p. Franciszka Konarskiego. Śmiechu dużo, i szczerego, łez mniej, ale te, które są, mają w sobie cnotę rzetelności. Wogóle talent rzeczywisty, niedobierający rymów, nieszukający sobie stanowisk umysłowych dla swej wrażliwości satyrycznej, z lekką liryką przejętej. Natchnienie nie ma pierwszorzędnej potęgi, łzy nie palą, śmiech nie zostawia po sobie typowych śladów w umyśle; we wszystkim jednak znać żywe odczucie sercem tego, co myśl postyzująca w wiersz układa. Prawdą przemawiają te śmiechy i łzy wyjątkowo tylko sięgające poza widnokrąg przeciętnego życia obyczajowego. Kobieta i miłość najczęściej zajmują miejsca. Dowcip, ironia, sarkazm, humor — najlepiej dopisują, gdy myśl twórcza bierze na cel te rozkoszniejsze połowe rodzaju ludzkiego i rozkoszniejsze pasemko życia, które się naokoło niej snuje w postaci miłości, zarówno czekającej jeszcze na realizację jak i zrealizowanej już w szczęściu małżeńskim. Ale przytem i cześć złotego cielca, lenistwo, rozrzutność, pyszałkowstwo, blichtr towarzyski — dostają nieraz dobre cięgi. Szczególne stosunki prowincjonalne pobudzają także nerw satyryczny do ciętych drwin, do dojmujących rysów obserwacji satyrycznej. Od całości zbioru odskakuje nastrój swoim i głębią myśli wiersz wstępny: „Lirycznej braci“. Smaga w nim poeta rozkwiloną Apollina rzeszę, dla której „tylko własna boleść święta“. Są to owi wzdychacze do szczęścia osobistego, owi unieszczęśliwiani przez samych siebie, łzawi i spazmatyczni rycerze niewieściego sztandaru; czas już, aby to plemię zniknęło z literatury, skoro mu natura nie pozwala zniknąć z życia. Autor śpiewa o nich dowcipnie: „Gdyby łzy wasze, o boleści syny, W rzeczonym korycie zebrał geniusz jaki, Siłą ich fali w ruch wprawiałby młyny, Wzdychaniem waszym obracał wiatrak!“ Wzywa ich więc „aby do piersi bliźniej przyłożyli ucho...“. Daremne wzywania: kto sobie publicznie pierś z powodu miłości rozdziera, i tę samą pierś później umyślnie goi, aby ją znowu potem rozdzierać — i kto od tego swój zawód poetycki zaczyna, — ten poza kwilenie ogólne, w tym czy innym później zakresie, nie posunie się. Wiersz ten do „lirycznej braci“ każe się więcej spodziewać, niż zbiór daje: oczekujemy głębiej w człowieka i ludzkość wrzynającej się obserwacji, goręcej wylewanych łez, głębiej rozdzierającego śmiechu; ale i po takim jeszcze zawodzie *Śmiech i łzy* zając, do myślenia pobudzić, zabawić mogą. Można mieć otuchę, że droga poety będzie szła coraz wyżej.

22. Pożyteczne i dla poważniejszych umysłów miłe i wdzięczne wydawnictwo *Wist* w drugim zeszyte tomu IV-go, przypadającego na rok bieżący, przyniosło czytelnikom swoim snop kłosisy. Na czele prac rozumowych stoi, niestety, nie oryginalna, ale za to doskonała, rozprawa o *Antropologii* w historycznym jej rozwoju, napisana przez uczonego czeskiego Lubora Niederego, w przekładzie p. Stanisława Ciszewskiego.

Przekład ten ma własną swą wartość przez to, że autor pierwiej uzupełnił drukowaną już rozprawę swoją w *Ateneum* czeskiem, a potem dopiero oddał ją do naszego kwartalnika. Jest to owoc rzetelnej, znajomości przedmiotu, systematycznej w umyśle ukształtowanej. Obfitość faktów, nazwisk, dat, szczegółowość kierunków pracy nad antropologią, wprowadzającą odrazu umysł zupełnie nawet świeży do wnętrza tej bardzo dziś już ożywionej pracowni, w której najlepsze umysły wyrabiają i gromadzą cegły i cegiełki do przyszłej budowy nauki. W dalszym ciągu T. III p. Karłowicz prowadzi w zeszyte najnowszym swoją cenną *Systematykę pieśni*, idąc śladem klasycznego *Child'a*. „Podanie o Izabelli i rycerzu elfie“, daje autorowi sposobność do przytoczenia

nowych, jeszcze nigdzie dotychczas niedrukowanych odmianek pieśni o Jasie i Kasi. Terrytorjalnie ułożony wykaz wszystkich odmian obejmuje 89, wyraźnie *osmdziesiąt dziewięć* odrębnych całostek: żadna inna pieśń taką bujnością przetwórczą poszczycić się nie może. Śpiewają ją wszędzie, na jaknajodleglejszych krańcach. Podział na główne typy oraz krytyka porównawcza tekstów, ich znaczeń i przechodzenia z kraju do kraju zajmują naszego uczonego w dalszym ciągu wywodów, zakończonych podaniem pięciu nowych ballad ze zbioru Child'a, który, jak na cudzoziemca, zna wybornie zasoby naszej umysłowości etnograficznej. Wzorową ścisłością odznacza się podanie przez p. Zygmunta Wolskiego *Przyczynków do pieśni dziadowskiej o b. twie pod Wiedniem*. P. Oiszewski uzupełnia swój artykuł z II t. *Wisty* o twórczości w terminologii językoznawczej. P. Roman Zawiliński w poszukiwaniach swoich na trafił na myt o Tantalusie i Syzyfie i odtwarza go w *Wiśle*. Romuald Łazęga z nadzwyczajną szczegółowością opisuje Ziemię Chełmińsko-Michałowską; dokończenie tego opisu będziemy mieli w trzecim zeszytacie roku bieżącego. Ważny dział: *Poszukiwania*, gromadzący najdrobniejsze dane dla wiedzy etnograficznej, zajmuje w zeszycie bieżącym 38 stronic; najważniejszym tu jest *Kwestyonaryusz w sprawie czytelnictwa*, ułożony przez pp. Antoniego Pileckiego i Zygmunta Wasilewskiego, a przedrukowany z *Głosu warszawskiego*. *Bibliografia*, *krytyka i wiadomości bieżące*, wreszcie *Nowości* nie zakończają jeszcze zeszytu. Rdzennie naukowe pióro Izydora Kopernickiego, po przeszłorocznym obszerniejszym zarysie, poświęca raz jeszcze krótkie wspomnienie zasługom naukowemu Oskara Kolberga. W samym końcu zeszytu dopiero idą *Drobniaki*, dobrane odpowiednio do powołania czasopisma.

23. „Na Oceanie“. Księgarnia Teodora Paprockiego i spółki do trzech opowiadań podróżniczych Edmunda de Amicisa (Konstantynopol, Hiszpania, i Londyn), przełożonych na język polski, dodała czwarte: opis podróży przez Atlantyk z Genui do Montevideo. Tworzy on sporą książkę o 360 stronicach 8°. Nazwiska tłumacza karta tytułowa nie podaje, nie będziemy go też szukali; przypominamy tylko, że trzy poprzednie podróże tłumaczyła p. Marya z Siemiradzkich Obrąpalska, siostra znakomitego malarza, i że jej również zawdzięczają rodzice kupujący książki dla dzieci i młodzieży przekład pięknego dziełka Amicisa: *Il cuore*, wydanego przez tę samą firmę, która podjęła obecnie nakład „Na Oceanie“. Opis dwudziestodwudniowej podróży przez Atlantyk powinienby właściwie nosić tytuł „Na okęcie“: więcej bowiem zajmuje autora życie na pokładzie, mała ludzkość, jej ruchy, porywy, drgawki i skurcze moralne, cała charakterystyka tłumów i indywiduów, niż natura zewnętrzna z falą, niebem, słońcem, księżycem, całym przestworem — i poruszającym się w nim okrętem. Pióro autora dokonywa tu jakby przekroju masy złożonej z tysiąca sześciuset podróżników spieszących ze starego ładu nieszczęść po szczęście na nowym. Ogromną większość, zwłaszcza uboższej, trzecio-klassowej ludności „Galileusza“ składają wychodźcy włoscy do Argentyny i Urugwaju. W piórze Włocha czuć drżenie serca włoskiego na te biedę, niedolę i nędzę, które corocznie tysiące nad La Platę wypędzają z krainy, będącej przedmiotem takiej zazdrości na północy Europy. Na okęcie nie lepiej, niż na lądzie: w człowieku zbiorowym, gromadnym, nie z myśli ale z ciała złożonym, mało jest człowieczeństwa, do jakiego tęskni idealizm. Amicis, pokazując zmysłowość, zbyt często nawet odsłania nam widok

zwierzęcia. W opisie swoim jest więcej dostrzegaczem i badaczem tej właśnie natury ludzkiej, niż artystą malującym zjawiska, bądź piękne, bądź charakterystyczne; ale opowiadać umie, opowiadaniem zajmuje, bez gadatliwości podaje rysy znamienne, sam zaś gra tylko rolę przewodnika po galerii. Jest w niej kilka typów wyrazistych, jak: ów Garibaldczyk zawiedziony na jedności włoskiej, nieczuły na wszystko, sercem już wprzód od ojczyzny oderwany, zanim go „Galileusz“ wyrzucił na ląd amerykański; jak jego dobry anioł stróż, umierające na suchoty wdzięczne dziewczę z Mestre; jak owa naiwnie wstydząca się swej miłości młoda para małżeńska. Zajmującym jest: agent towarzystwa żeglugi, otrząskany z ludzkością i łagodnie z niej drwący, i podobny do niego garbaty majtek, i adwokat uzbrojony przeciw burzy w przyrząd Boycotta, i demagog ludowy w zielonej kurtce; są wreszcie kobiety ukazane pojedynczo i w całej gromadzie, jakby jedna żywa istota. Prócz tych satyrycznych obrazków ilustrujących życie na okęcie w książce Amicisa spotykamy większe i pod względem artystycznym wyższe obrazy natury. Niewiele ich, ale piękne. Wschód i zachód słońca (str. 162), morze płonące (str. 218), nadciągająca burza, (str. 284 squ 294) mrok (str. 341) niewiele słowami wzruszająco odmalowane. Życie okrętowe w swoich własnych, na lądzie nieznanym, postaciach występuje w opisach chrzcina, pogrzebu, spoczynku nocnego, z prostotą a wypukłością stylową dokonanych. Wogóle książka Amicisa zapewnia biorącym ją do ręki to, co *milem czytaniem* nazywamy.

Z przykrością wytknąć tu musimy błędy wysłowienia w przekładzie polskim tej milej książki. Przykreść tę zwiększa przeświadczenie o jakimś, czy-to lekceważeniu uwag krytyki, czy też nieoprawności pióra. „Na Oceanie“ więcej jeszcze ma błędów, niż „Pamiętnik chłopca“. Z jakimś osobiwszym uporem te właśnie zboczenia, które w „Pamiętniku“ wytknięto, powtarzają się obficie jeszcze w nowym przekładzie. Gdyby wszystkie spisać, zajęłoby to więcej miejsca, niż go na takie przedmioty poświęcać warto. „Pamiętnik chłopca“ nie miał stylu, ale miał przynajmniej lepszą gramatykę; „Na Oceanie“ nie ma ani stylu odtwórczego, ani gramatyki. Dziwić się potrzeba korekcie: jak mogła przepuścić tyle kontrabandy przez swoje rogatki. Na osobniku, z którego poznano przekład nowo wydany, znajduje się pięćdziesiąt wysłowień zaznaczonych jako zdrożne; kto inny znajdzie ich jeszcze więcej. Karygodnym jest stałe, ustawiczne używanie przysłówkowe imiesłowu teraźniejszego w postaci nieodmiennej. Logika zdań, idzie tu na rzeź; podmiot z podmiotem tworzy groch z kapustą; niewiadomo: kto siedł przez most a kto zgubił czapkę: czapka czy przechodzień? Haniebne jest również nieustanne w jednym i temsamem zdaniu złożonem uciekanie się pod skrzydła zaimka względego. W przedostatnim okresie książki czytamy np. „Nasyciwszy się dowoli uczuciem nienawiści i pogardy dla ludzi, które nie nam innego nie dało, oprócz goryczy, zatruwającej nasze życie, i zwiększenia się dokoła owej złości(?), która nas natchnęła,... wracamy zwolna do... uczucia, które jest wielką litością dla wszystkich, a z którego stopniowo... Z „ową złością“ nie umiał sobie twórca przekładu poradzić, wysłowienie zeszpecił i dla oddania myśli autora zrobił wszystko, czego było potrzeba, aby ją właśnie skoszlawić.

24. Słynny Mantegazza, który dużo wie, ale więcej jeszcze pisze, niż wie, napisał niedawno

małą felietonową rozprawkę, przez ruchliwą firmę Teodora Paprockiego i Sp. wydaną w przekładzie p. Jana Lorentowicza p. t. „Wiek obłudy“ (str. 67, II—8°). Jest to wiek nasz, ten, w którym żyjemy. Antropolog florencki nie pierwszy uderzył w strunę świętoszkowstwa. Obłuda jest wieczną, jak człowiek, i umysły ludzkie zawsze widziały w niej zarazę obyczajów i instytucji ludzkich. Spostrzeżenia Montegazzy, po innych, głębszych i obszerniej wyłożonych, w literaturze europejskiej nie mają znaczenia; ale przy ubóstwie naszej literatury rozumowej o człowieku zbiorowo żyjącym, o cywilizacji, kulturze i nspobieniu umysłem ludzkości, — nam i ten drobniak przydać się może. Uczony professor miejscami majaczy, gdy np. za obłudę uważać nam nakazuje wstyd społeczny, który jest dobrym rozwojem czynnikiem, albo gdy najważniejsze sprawy obłudy, jako wielkiego prądu ogarniającego całe instytucje ludzkości, stawia na gruncie stosunków osobistych (str. 63 i 4); wogóle przecież wskazuje rzeczywiste wrzody i opuchlizny. Książeczka może pobudzić do myślenia i odczytanie jej przyniesie pożytek.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim** podaje do wiadomości pp. budowniczych, iż w m. Styczniu 1891 roku odbędzie się w lokalu Towarzystwa Wystawa konkursowa **architektury**, a mianowicie wszelkiego rodzaju kompozycji w zakres budownictwa wchodzących. Nie kwalifikują się na wystawę wszelkie kopie i kompozycje autorów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Na wystawę konkursową przyjmują się kompozycje wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się, czy-to na Wystawie stałej Towarzystwa, czy też na innej wystawie w Warszawie. Tutaj objaśnia się, iż pod nazwą kompozycji rozumiane są projekta architektoniczne w rysunku, jak i fotografie z natury z dzieł architektonicznych już wykonanych. Deklaracje w formie listów Komitet Towarzystwa przyjmować będzie do dnia 15 Grudnia 1890 r. W deklaracji wymienić należy tytuł kompozycji, imię i nazwisko i dokładny adres autora, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia i o tem, w jakiej szkole otrzymał specjalne wykształcenie. Kompozycje zaś winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa przed 31 Grudnia 1890 r. — Komitet wyznaczył dla tej Wystawy trzy nagrody pieniężne z funduszu Towarzystwa po rs. 600, 300 i 200, za kompozycje bezwarunkowo odznaczające się. Regulamin czyli instrukcją szczegółową konkursu powyższego kancelarya Towarzystwa wydaje lub wysyła na żądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TREŚĆ: Walka Tytanów, przez J. Nitowskiego. — Troska o chleb powszedni, przez F. Łagowskiego. — Drugie Pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Hypnotyzm, przez Dr. J. Starkmana. — Siostrzyczka ubogich (dokończenie). — Echa literackie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 15 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Июля 1890 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Suknia z wigoni.

Rycina Nr 2.

Suknia złożona z spódnicy i wetmanu z wigoni koloru piaskowego gładkiego i w pasy. Napierśnik, przybranie spódnicy i rękawów z akсамitu koloru brązowego.

Serwetka, wykonana robotą siatkową.

Rycina Nr 3—5 i 10—12.

Serwetka złożona z dwóch wielkich kwadratów i sześciu mniejszych wykonanych siatką starożytną, oraz z 6 części aksamitnej wstążki 6 cent. szer. koloru miedzianego. Otoczenie koronką haftowaną na siatce 4 centim. szerokiej. Siatkę wykonaną niemi średniej grubości w kwadraty proste, haft temiż samemi niemi, sposobem cerowanym.

Kołnierzyk dziecienny (robotą szydełkową).

Rycina Nr 9.

Kołnierzyk wykonany krętą bawełną koloru crème. Rozpocząć na założeniu 221 ocz. i wykonać odpowiednio do desenu podług ryciny Nr 34 w Bl. Nr 33.

Chusteczka na szyję z jedwabnego mułu.

Rycina Nr 16.

Pasek z mułu jedwabnego koloru żółtawego, 11 cen. szer. a 460 cent. dług. Dolny brzeg ozdobić ząbkami dzierganemi tegoż samego koloru jedwabiem. Zmarszczyć i przyszyć jak wskazuje rycina do wstążki koloru crème 2½ cen. szer. a 110 cent. dług., drugi brzeg wstążki obszyć falbanką plisowaną z mułu 8½ cent. szer.

Czepeczek nocny i także chusieczka (robotą drutową i szydełkową).

Rycina Nr 21 i 22 (do ryciny Nr 25 i 26). Krój do ryc. Nr 21 pierw. str. tabl. Nr VI fig. 36.

Czepeczek wykonany cienką bawełną estremadura na drutach stalowych odpowiedniej grubości, obszty koronką zakończoną w dolnym brzegu 3-ma rzędami wykonanemi szydełkiem podług ryc. Nr 25. Dno czepeczka wykonać podług wzoru ryciny Nr 26. Chusteczka może być wykonaną niemi lub welną w sposób następujący: Rozpocząć od środkowego końca na założeniu 3 ocz. a następnie tam i napowrót.—1 kolej: zwy-

czajnie:—2 kolej: należy przybrać, przerabiając w następnym o. 1 ocz. zwyczajnie i 1 ocz. dróżką, potem 1 ocz. i w następnym ocz. przybrać jak poprzednio.—3 kolej: zwyczajnie, przyczem ciągle przybierać. W ten sam sposób wykonywać nieparzystą cyfrą oznaczone kolejki aż do kolei 11 włącznie.—4 kolej: ocz. zebrać z następnych 3 ocz. dwa przybrania jak w kolei 2-iej, 1 ocz. odwrotnie. Środkowe 3 oczka przerabiać tak samo aż do kolei 314 włącznie w kolejach oznaczonych liczbą parzystą, o czem dalej wspominać nie będziemy.—6 kolej: odwrotnie (oprócz 3 środkowych oczek na przybranie) tak samo wykonać parzystą cyfrą oznaczone kolejki, aż do kolei 20 włącznie.—13 kolej: ocz. zebrać, 3 oczka zwyczaj., drut owinać, 2 oczka zwyczaj. dróżką razem przerobić, 3 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zwyczaj. razem przerobić, drut owinać, 4 ocz. zwyczaj.—15 kolej: ocz. zebrać, 1 ocz. zwyczaj., 2 oczka zwyczaj. razem dróżką przerobić, drut owinać, 1 ocz., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, 3 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zwyczaj. razem przerobić, drut owinać, 1 oczko zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, 2 ocz. zwyczaj.—17 kolej: ocz. zebrać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, drut owinać, 3 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, 3 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, drut owinać, 3 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zwy. razem dróżką przerobić, 1 ocz. zwyczaj.—19 kolej: ocz. zebrać, 2 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2

ocz. zebrać, drut owinać, 9 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zebrać, drut owinać, 3 ocz. zwy.—21 kolej: ocz. zebrać, 1 ocz. zwyczaj., 2 ocz. razem dróżką przerobić, drut owinać, 1 ocz. zwy., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, 9 oczek zwyczaj., 2 ocz. razem dróżką przerobić, drut owinać, 1 oczko zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, 2 ocz. zwyczaj.—22 kolej: Pierwsze i ostatnie 9 ocz. przerobić odwrotnie, środkowe 3 spożytkować na przybranie oczek a resztę przerobić zwyczajnie. Następne kolejki parzystą oznaczoną cyfrą przerabiać tak samo, ale skoro zwyczajnie przer., oczka dojdą do cyfry 6, w następnym środkowym przybieraniu, następne ocz. wykonywać odwrotnie aż do cyfry 6, a potem ciągle 6 zwyczajnie, 6 odwrotnie na przemianę aż do kolei 314 włącznie.—23 kolej: ocz. zebrać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, drut owinać, 3 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. razem dróż. przerobić, 9 ocz. zwy., 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, drut owinać, 3 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, 1 ocz. zwyczaj.—25 kolej: ocz. zebrać, 2 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zebrać, drut owinać, 15 oczek zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zebrać, drut owinać, 3 ocz. zwyczaj. W każdej następnej kolejki oznaczonej nieparzystą cyfrą na pierwsze i ostatnie 9 oczek powtarzać deseni pierwszych i ostatnich 9 oczek kolei 21, 23 i 25, środkowe zaś oczka ciągle zwyczajnie przerabiać.—315 kolejki kończy 2 połowy chusteczki.

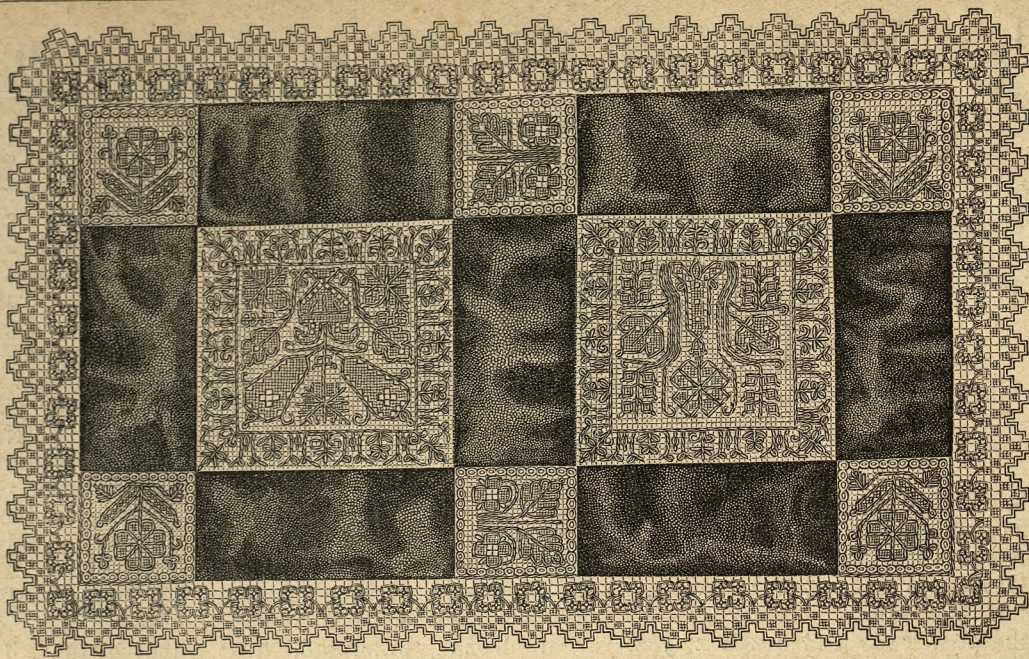
Następnie otoczyć 1 koleją ścisłych oczek. Koronkę wykonać na założeniu 10 ocz. tam i napowrót.—1 kolej: ocz. zebrać, 6 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj. razem dróżką przerobić, 1 ocz. zwy.—2 kolej: ocz. zebrać, 1 oczko zwyczaj., 2 ocz. odwrotne, 6 ocz. zwyczaj.—3 kolej: ocz. zebrać, 4 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zwyczaj. razem dróż. przerobić, drut owinać, 1 ocz. zwy., drut owinać, 2 ocz. razem dróżką przerobić, ostatnie przerobione ocz. przełożyć na drut w lewym ręku będący, drut owinać i wyżej oznaczone ocz. zwyczajnie przerobić. (Ostatnie ocz. w ten sam sposób przerobić w 5, 7 i 9 kolej).—4 kolej: ocz. zebrać, 1 ocz. zwyczaj., 4 o. odwr., 5 ocz. zwyczaj.—5 kolej: ocz. zebrać, 3 ocz. zwy., 2 ocz. razem dróżką przerobić, dr. owin., 3 o. zwy., dr. owin., 2 o. razem dróż. przerobić.—6 kolej: ocz. zebrać, 1 ocz. zwy., 6 ocz. odwr., 4 ocz. zwyczaj.—7 kolej: o. zebrać, 2 ocz. zwy., 2 ocz. razem dróż. przerob., drut owinać, 2 ocz. zwyczaj., 1 ocz. odwr., 2 o. zwyczaj., drut owin., 2 ocz. razem dróż. przerobić.—8 kolej: oczko zebrać, 1 oczko zwyczaj., 3 oczka odwr., 1 ocz. zwy., 4 ocz. odwr., 3 ocz. zwyczaj.—9 kolej: o. zebrać,



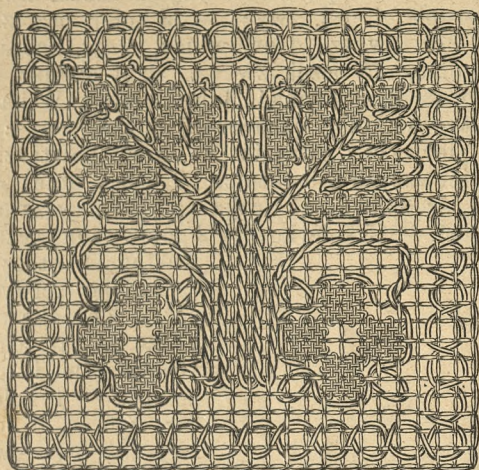
Nr 1. Suknia z materiału wełnianego w kraty. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 2. Suknia z wigoni.

1 ocz. zwyczaj., 2 ocz. razem drózką przerobić, drut owinać, 2 ocz. zwyczaj., 3 ocz. odwrócić, 2 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. razem dróż. przerobić. — 10 kolej: ocz. zebrać, 1 ocz. zwyczaj., 3 ocz. odwr., 3 ocz. zwyczaj., 4 ocz. odwr., 2 ocz. zwyczaj. — 11 kolej: ocz. zebrać, 2 ocz. razem drózką przerobić, drut owinać, 2 ocz. zwyczaj., 5 ocz. odwr., 2 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. razem drózką przerobić. — 12 kolej: ocz. zebrać, 3 ocz. odwr., 5 ocz. zwy., 4 ocz. odwr. 1 ocz. zwyczaj. — 13 kolej: ocz. zebrać, 2 ocz. zwy., drut owin., 2 ocz. razem dróż. przerobić, 1 ocz. zwyczaj., 3 ocz. odwr., 1 ocz. zwyczaj., 2 ocz. razem drózką przerobić, drut owinać, 2 ocz. razem drózką przerobić. — 14 kolej: ocz. zebrać, 2 razy naprzemian 3 ocz. odwr., 3 ocz. zwyczaj. — 15 kolej:



Nr 3. Serwetka wykonana siatką starczytną (do ryc. Nr 4, 5, 10-12).



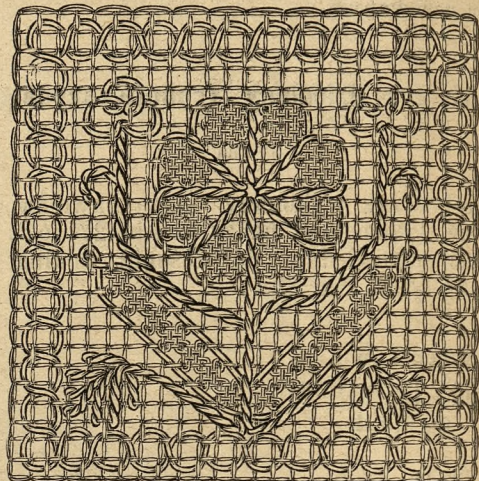
Nr 4. Mały kwadrat do serwetki Nr 3. (Wielkość oryginalna).



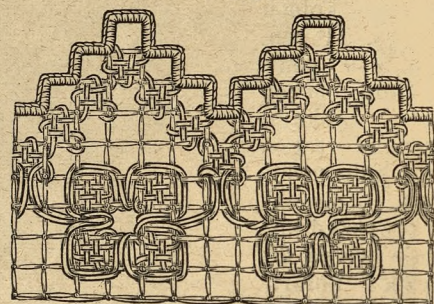
Nr 9. Kołnierzyk dziecienny (robota szydełkowa do ryc. Nr 34 w Bl. Nr 33).



Nr 6-8. Ubranie dla chłopczyka od 8-10 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12-18).

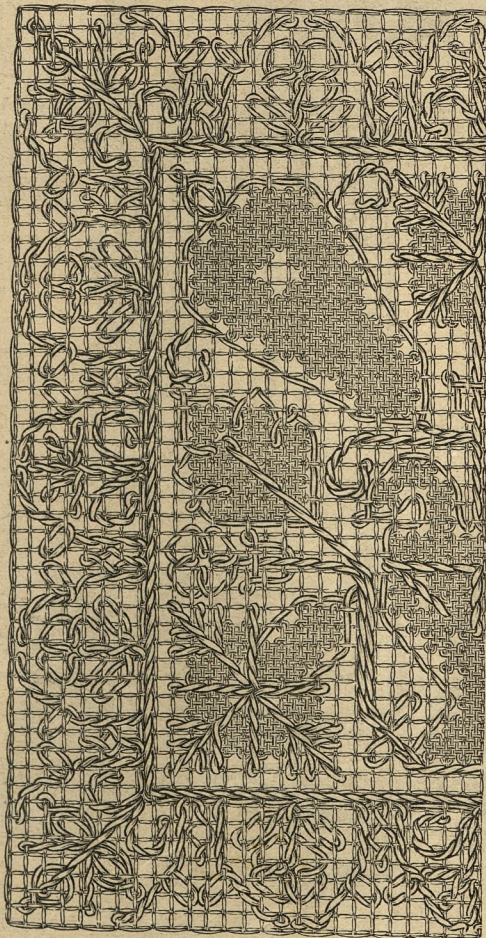


[Nr 5. Mały kwadrat do serwetki Nr 3. (Wielkość oryginalna).

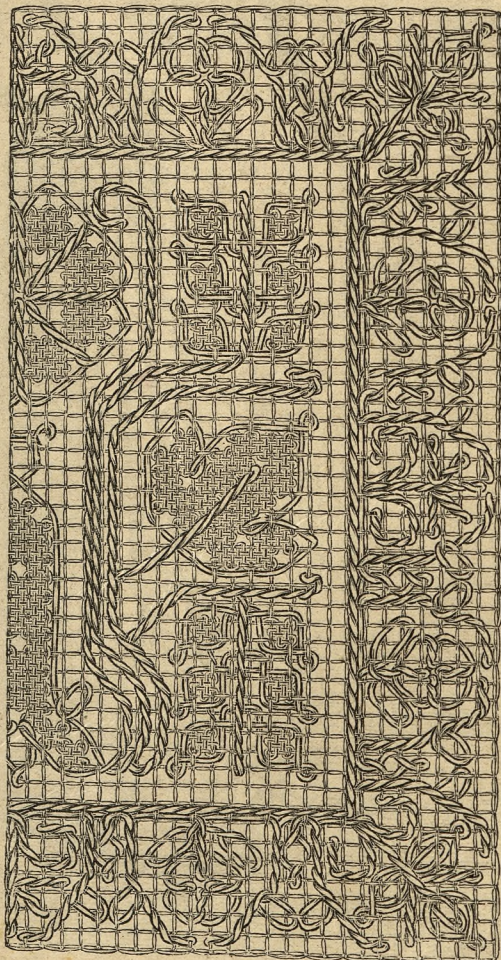


Nr 10. Koronka do serwetki Nr 3. (Szerokość oryginalna).

ocz. zebrać, 3 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. razem drózką przerobić, 1 ocz. zwyczaj., 1 ocz. odwr., 1 ocz. zwyczaj., 2 ocz. razem drózką przerobić, drut owinać, 2 oczka razem drózką przerobić. — 16 kolej: ocz. zebrać, 3 ocz. odwr., 1 ocz. zwy., 3 ocz. odwr., 4 ocz. zwyczaj. — 17 kolej: ocz. zebrać, 4 ocz. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. razem drózką przerobić, 1 ocz. zwyczaj., 2 ocz. razem drózką przerobić, drut owinać, 2 ocz. razem drózką przerobić. — 18 kolej: ocz. zebrać, 5 ocz. odwr., 5 ocz. zwyczaj. — 19 kolej: ocz. zebrać, 5 ocz. zwy., drut owin., 2 ocz. zebrać, drut owinać, 2 ocz. razem drózką przerobić. — 20 kolej: ocz. zebrać, 3 ocz. odwr., 6 ocz. zwyczaj. Powtarzać ciągle 1 do 20 kolei (w oryginale powtórzono 68 razy). Następnie w każdym łuku koronki wykonać szydełkiem jak następuje: 1 kolej: 19 śc. ocz. — 2 kolej: * 1 ścis. ocz. w 2 z rzędu ocz. następnego łuku, 8 razy na przemian: 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 2 z rzędu ocz., poczem od * powtórzyć. — 3 kolej: * 1 ścis. ocz. w następ. 4 pow. ocz., 7 razy na przemian: 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w na-



Nr 11 i 12. Połowa wielkiego kwadratu do serwetki Nr 3. (Wielkość oryginalna).



stęp. 4 pow. ocz., poczem od * powtórzyć. Górny brzeg chusteczki otoczony 2-ma kolejami jak następuje: — 1 kolej: ciągle na przemian 1 ścis. ocz. w następ. ocz., 4 pow. ocz., 1 ocz. opuścić. — 2 kolej: ciągle na przemian: 1 ścis. ocz. w następ. 4 pow. ocz., 4 pow. o.

Serwetka na stół ozdobiona aplikacją.

Rycina Nr 29 i 23.

Serwetka z jedwabnego materiału „armure” koloru jasno-brązowego, otoczona pluszem jedwabnym koloru ciemno-brązowego na 15 cent. szer. Gruby sznur jedwabny i podszywka z jedwabnego

brązowego materiału wykończyć całość. Jeden róg serwetki przyozdobiony aplikacją której wzór naturalnej wielkości podaje ryc. Nr 23. Należy przenieść deseń na tło tkaniny lnianej, koloru żółtawego i wypełniać figury wiadomym sposobem przez 4 nitki wysokości; każda w odstępach 1-ej nitki, filozelą w kilku cieniach koloru: brązowego, oliwkowego, ter racota i zieloną w odcieniu popielatym, oraz ścięciem cerowanym złotą kręconą nitką. Otaczać figury japońską złotą nitką, mocowaną żółtym jedwabiem. Tło wyciąć i zaaplikować figurę na serwetce, przyczem powtórnie otoczyć złotą nitką.

„Matinée z fularu.”

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 33.

„Matinée” wykonane z fularu koloru lila w deseń czarny, ozdobione koronką białą 8 c. szer., oraz wstążką repsową lila 3 cent. szer. Przednie części na 5 cent. od brzegu, ułożone w 15 drobnych zakładek, z których 8 aż do dolnego

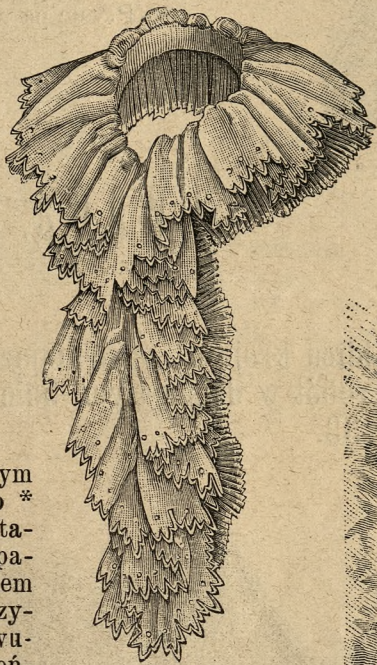
brzegu, reszta zaś na 35 centim. od tegoż. Plecy układane w zakładki puszczone wolno na 6 cent. poniżej wcięcia. Dolna część ozdobiona falbanką plisowaną 8 cent. szer. Wstążki i koronka wykończają całość podług ryciny.

Kaftanik ranny barchanowy.

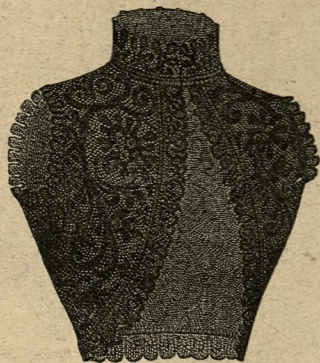
Rycina Nr 5 i 6 w Bl. Nr 33. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 26—31).

Kaftanik z barchanu w paski białe i ponsowe. Po dopełnieniu złożenia fig. 26. skrajać podług fig. 26—29 i 31 po dwie części, podług fig. 30 jedną część złożoną wzdłuż środka. Wykonać w przedniej części 4 razy zmarszczenie pomiędzy dwoma liniami na $4\frac{1}{2}$ cent. szer. Połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. W plecach wykonać fałdy trafiając $\frac{1}{2}$ na kropkę. Do prawego przedniego brzegu przystebnować pasek 3 cent. szer.

zaopatrzyć podkładem i podszewką. Kołnierzyk wykonać podług fig. 68 tejże tablicy, zaopatrzyć w hafteczki do zapinania i ozdobić wstążkami do wiązania na kokardę. Rękawy skrajać podług fig. 49 tejże tablicy, zmarszczyć takowe w górnym brzegu od * do * i wszyć w kaftanik. Pasek zaopatrzyć podkładem i podszewką przyszyć od $\frac{1}{2}$ do dwukropka i wykończyć podług ryciny



Nr 16. Chusteczka na szyję z jeawabnego mulu.



Nr 13. Kaftanik z koronki do Nr 19. (Op. odwr. str. tabl.).



Nr 17. Suknia z kaszmiru (Kr. i op. odwr. str. tabl.).



Nr 18. Suknia z krepy i koronki.



Nr 14. Płaszcz dla panienki od 2—3 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 32—35).

Nr 15. Płaszcz marynarski dla chłopczyka od 2—4 lat. (Kr. i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 55—60).

podług fig. 49 cztery części z uwzględnieniem konturów spodniej części. Na części przednie należy przypuścić materiału na 9 centim. szer. na 9 załadek, każda $\frac{1}{2}$ cent. szer. i takowe wykonać wzdłuż gładkiej linii. Zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, ułożyć plecy w fałdy, trafiając $\frac{1}{2}$ na kropkę; wycięcie szyi wszyć w pasek podwójnie złożony 2 cent. szer. i otoczyć falbaneczką 3 cent. szer. dzierganą w ząbki bawełną granatową. Zaopatrzyć z przodu w dziurki do przeciągnięcia wstążki $2\frac{1}{2}$ centim. szer. do związania na kokardę. Takież dwie falbanki zdobią przednią część kaftanika. Rękawy wykonać podług ryciny i wszyć w kaftanik.

Rękawy do sukien.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 33.

Rękawy rozmaitych fasonów, tak do sukien wełnianych, jak jedwabnych i zefirowych.

Nocny kaftanik.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 33. (Kr. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 46—49).

Po dopełnieniu złożenia fig. 46 i 48, skrajać z cienkiego perkalu fig. 46 i 47 po dwie części, podług fig. 48 jedną część złożoną wzdłuż środka,



Nr 19. Kaftanik z koronki do ryc. Nr 13. (Opis odwr. str. tabl.).

Przepisy gospodarskie.

Pasty jabłkowe na suchą konfiturę.

Z półtora garnca jabłek letnich lub jesiennych pokrajanych i obranych na cząstki gotuje się marmolada, podlewając odrobinę wody, potem przefasować, zważyć i na funt tej marmolady wziąć funt mialkiego cukru, zmieszać w rądlu razem i wysadzać na ogniu ciągle mieszając, gdy dogotowane można rozdzielić na połowę, jedną połowę zostawić na białą, a drugą połowę zafarbować na różowo alkiermusem, a do tej przy końcu smażenia dodaje się trochę olejku różanego dla zapachu. Pa-

blachą, a bez pieca w ciepłym pokoju obeschną. Przechowywać w słojach w chłodnej suchej spiżarni.

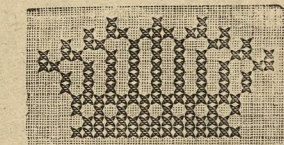
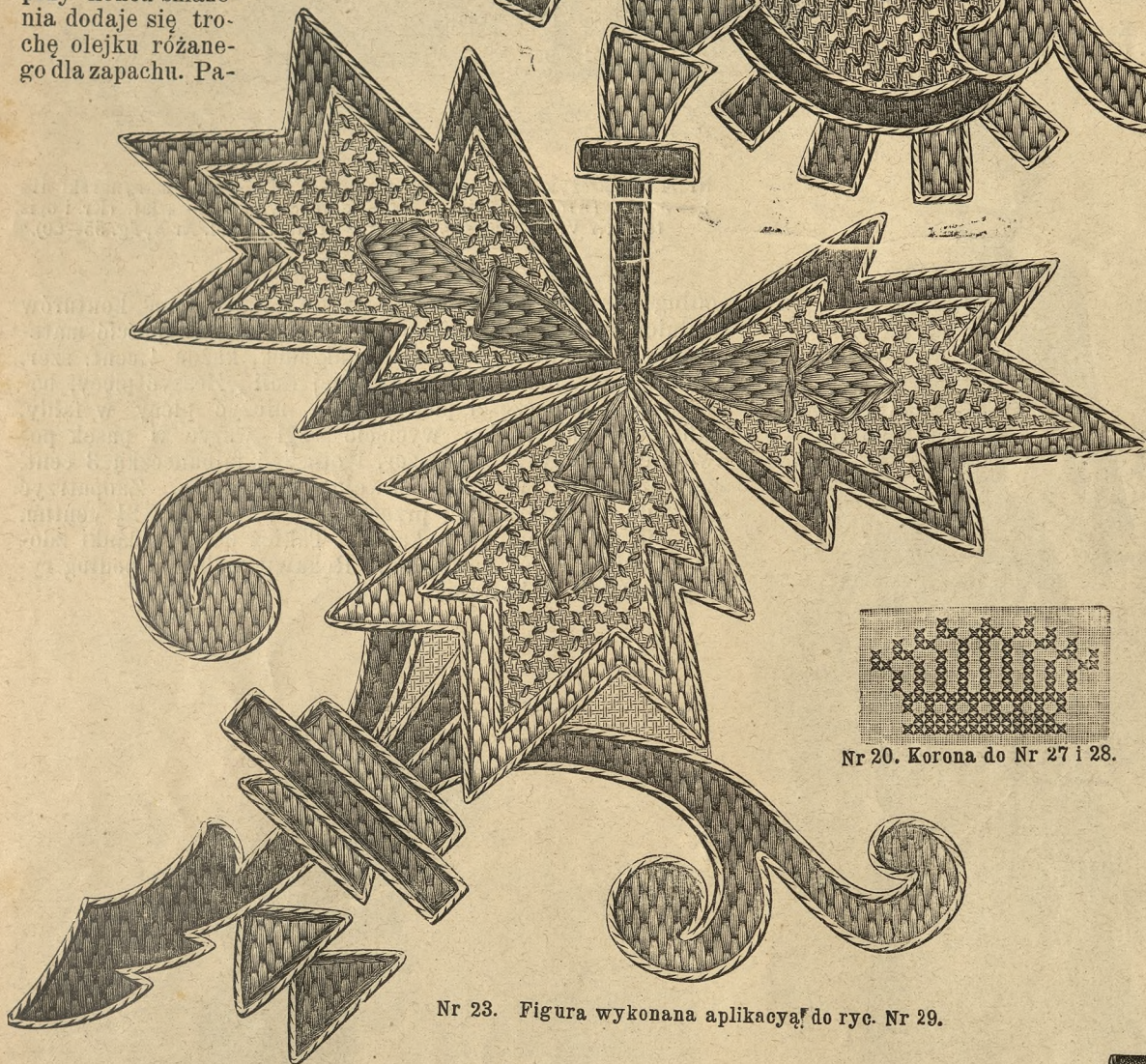
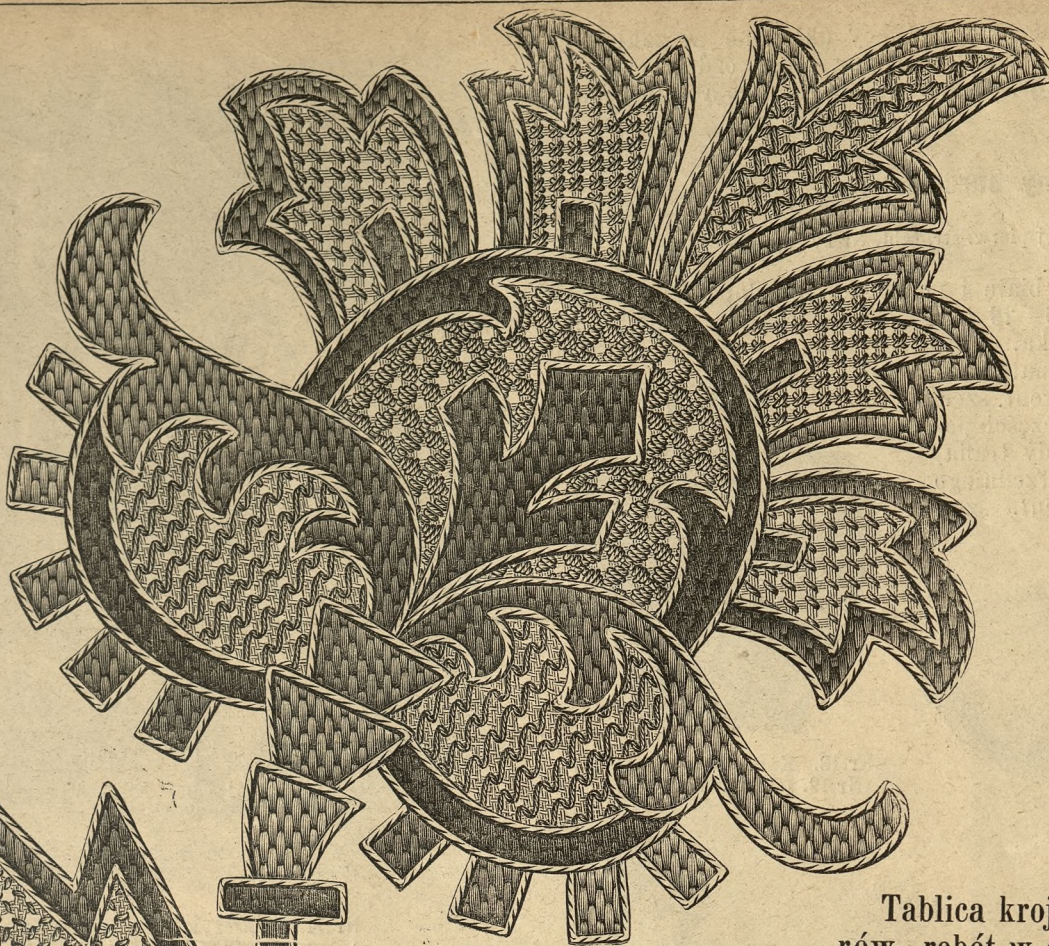
L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z jarzyn z grzankami.
2. Zrazy z różną z kaszą gryczaną.
3. Rydze duszone w maśle.
4. Kaczki młode z jabłkami.
5. Ptysie parzone ze śmietaną.

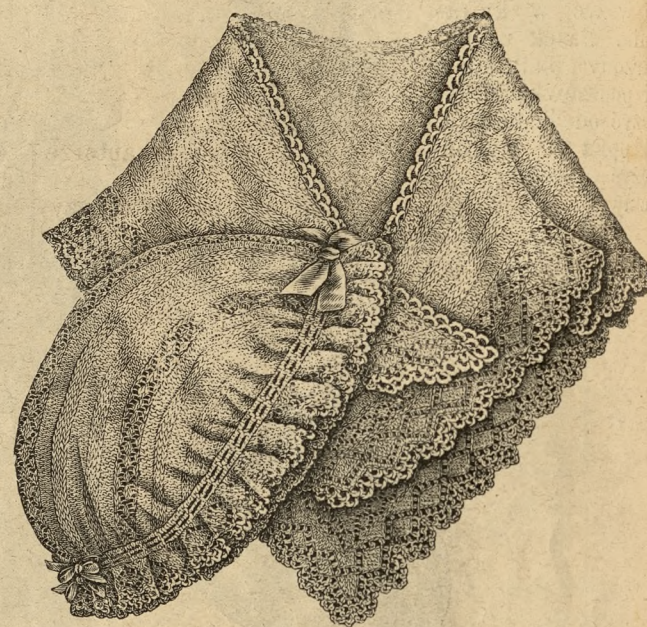
Uwaga.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów robót w dzisiejszym numerze służy też do Nr 33.

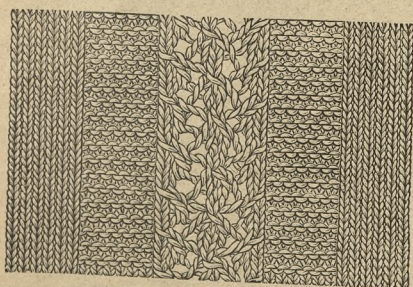


Nr 20. Korona do Nr 27 i 28.

Nr 23. Figura wykonana aplikacją do ryc. Nr 29.



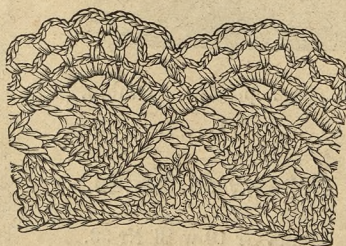
Nr 21 i 22. Czepek nocny i chusteczka (robota drutowa szydełkowa do ryc. Nr 25 i 26). Kr. do ryc. Nr 21, pierwsz. tabl. Nr VI, fig. 36).



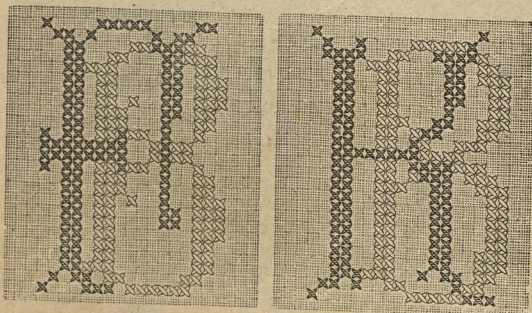
Nr 26. Część tła do Nr 21 (robota drutowa).



Nr 24. Znak haftowany.



Nr 25. Koronka do ryc. Nr 21 (robota drutowa i szydełkowa, szerokość oryginalna).



Nr 27 i 28. Monogramy (robota krzyżowa do ryc. Nr 20).

sty są już ugotowane, jak się zobaczy że od rądla marmolada odstaje, trzeba bardzo na tę chwilę do gotowania uważać, gdyż jak się tylko przesmaży, tak nigdy potem nie zastygnie, wysadzać na mocnym ogniu ciągle mieszając, gdy już wysadzone czemprędzej nakładać w formy blaszane lub papierowe, gdy przestygnie krajać w kawałki lub krążki upodobanej wielkości i na półmiskach obsuszać w bardzo lekkim piecu, na noc pod



Nr 29. Serwetka na stół ozdobiona aplikacją (do ryc. Nr 23).